



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicą: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: Ultramontańska grawitacya. — Reszta sejm u lwowskiego p. Z. W. — Z mojego pamiętnika. L. Börnego. — Za tanie pieniądze. — Z Niemiec p. Libera. — Piśmiennictwo polskie: Pamiętniki Soroki p. Wł. Smoleńskiego. Wojna, obraz dramatyczny w 5-ciu aktach Sewera Płomieńca p. J. K. — Jerzy Brandes, szkic literacki p. Jadwige Krausharową. — Elektryczność w przemyśle II. p. Antoniego Sękowskiego. — Liberum veto. — Teatr p. S. K. — Tydzień Polityczny. — O prawdę. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ofiary. — Ogłoszenia.

ULTRAMONTAŃSKA GRAWITACYA.

Rozbierając w jednym z pierwszych numerów naszego wydawnictwa stosunek pruskich polaków do Niemców i szacując ich łączność z partją środkową (centrum), wyraziliśmy zupełną niewiarę w długotrwałość i korzyści tego przymierza. Bliższe, niż nam się zdawało, fakty usprawiedliwiły słusność tego podejrzenia. Polacy pruscy, a zwłaszcza przewodniczący innym poznańscy, uwiedzeni wywołaną przez prawa majowe niezgodą katolików niemieckich z rządem, sprzęgli swoje sprawy i nadzieje z ich losem i taktyką, jak gdyby Warta i Ren wspólnym płynęły łozyskiem. Złudzenie to trwało lat kilka, a każdy, kto śmiał powątpiewać o jego pożytku, był nawet u nas w Królestwie uważany za potępienca, usiłującego, nieszczeniście daremnie, sprowadzić na manowce prostą drogą idący naród. Rozlegały się też w klerkalnej prasie polsko-niemieckiej głośnie całusy polityków poznańskich z drużyną Windhorsta, oba żywiły przed tronem papieża przysięgały sobie dożgonną miłość i wierność a kardynał Ledóchowski błogosławił owe przykładne śluby. Przed dwoma już laty błyskawica z ust niemieckiego Jowisza rezwiewiała na chwilę ciemności polityki i pozwoliła poznańczykom dojrzeć gromadzące się nad ich głowami chmury z tej właśnie strony, z której zwykle wschodziła dla nich jutrzienka nadziei. Mianowicie na jednym z posiedzeń sejmowych ks. Bismark rzucił znaczącą uwagę, że sprawa polska popchnęła go do walki z kościołem. Uwaga ta niewątpliwie zrodziła wśród ultramontanów niemieckich pytanie: czy nie korzystniej byłoby dla nich pozbyć się przyjaciół poznańskich i szląskich, oraz czy

solidarności religijnej nie okupują kosztem interesów narodowościowych, germanizacyjnych? Jakoż z teutońskich łap zaczęły powoli wysuwać się pazury, które przy obecnych wyborach już widocznie zatopiły się w ciele polskiej prowincyi. Ultramontanie pruscy, popierający dawniej w Poznaniu jedynie katolików, nie tylko dopełnili swe hasło protegowaniem Niemców, ale nadto wyraźnie oświadczyli się raczej za niekatolikiem Niemcem, niż za katolikiem Polakiem. Na całej prawie linii prasy polskiej ozwał się spóźniony alarm do odwrotu, a długoletnie śluby prysnęły w nagłym rozwodzie. Dziś już p. Windhorst nie jest Mojżeszem, wiodącym lud poznański do ziemi obiecanej, a pomału ci, którzy przepowiadali smutny koniec pobłogosławionemu przez kard. Ledóchowskiego małżeństwu, odzyskują może stracone obywatelstwo.

I gdyby tylko na poznańskim drzewie pokazały się niszczące robaki; gorszem jest to, że z niego spadł zgniły a trujący owoc. Nasiąkły sokami pruskiego klerkalizmu ksiądz Radziwiłł, kandydat z okręgu bytomskiego wystąpił na zebraniu niemieckich „mężów zaufania” z niewinną mówką, w której zażądał ni mniej ni więcej tylko, żeby — wyrażając się słowami pobożnej Warty — „Szląsk polski nie grawitował ku polskim braciom i ku polskiemu środkowi w Poznaniu, lecz żeby politycznie zależał od Wrocławia, resp. Berlina.... Meppen, Fuldy lub Kolonii.” Podziwiać należy uprzejmość, z jaką organ poznański, wspominając o tem, cofa się od sprzeczki z księdzem Radziwiłłem „o stronę prawnopolityczną, byleby przyrodzone narodowe prawa polaków znalazły przy tej organizacji należytych obrońców.” Trzeba mieć istotnie głowę odurzoną wyziewami watykańskiej pieczary a serce odżywiane krwią teutońsko-ultramontańską, ażeby przenieść polityczny punkt ciężkości Polaków szlą-

skich do Meppen i Fuldy lub wierzyć, że „przy tej organizacji” znajdą oni „należytych obrońców.” Świad klerkalny zaczął zupełnie rozumy lichych obrońców narodowości polskiej w Poznaniu, jeśli oni mogą publicznie kreślić dla niej takie prawa „grawitacyi.” Oto rezultat polityki na ultramontańskich krosnach utkanej! Wobec niego szyderstwo ustępuje miejsca głębokiemu smutkowi, nie możemy się śmiać, lecz musimy boleć nad ślepotą, tem okropniejszą, że niepoprawną. Zamiast Radziwiłłom, adresującym swój patryotyzm do Fuldy i Kolonii, odebrać wszelką możność wciągania narodu w germańską otchłań, sfanatyzowane pisma poznańskie spodziewają się jeszcze od nich usług obywatelskich — „zniewolenia (!) naczelnych kierowników partji centrum do tego, żeby zaprzestali (!) takich krzyżackich zagonów w ziemie polskie.” Gdzie rozum się podział, gdy te słowa z pod pióra dziennikarskiego wybiegały? Apostołowie „grawitacyi” szląskiej do Berlinu mają „zniewolić” krzyżaków do zrzeczenia się zagonów na ziemiach polskich! Zaiste, na to pośrednictwo wiele liczyć można!

Jeżeli przy dotychczasowym stosunku stronniectw w sejmie niemieckim, w którym środek przeważał wahające się szale, związek z tą zakapturzoną obłudnie partją krył dla poznańczyków poważne niebezpieczeństwo, to obecna przemiana układu żywiołów politycznych, wzmacniająca siłę postępowych, potęguje obawy i oderwać winna sympatyje polskie od dawnego przymierza. Wiemy dobrze, iż najwięcej ucisku zawdzięcza Poznańskie tak zwanym narodowym liberałom; nie pragniemy go też wcale związać z tą nikczemną, przez pana swego i naród pogardzoną, a dziś w nowych wyborach mocno przetrzebioną czeladzią, ks. Bismarka. W sejmie niemieckim wszakże istnieje kilkaszczerze wolnomyślnych, uczciwych i cudzą krzywdą niezży-

cych grup (postępowcy, secesyoniści, partya ludowa), które razem tworzą dość liczny zastęp i które przeważnie będą umiały uszanować prawa narodowości poznańskiej. W tę więc stronę Koło polskie zwrócić się powinno, jeżeli pomocy potrzebować będzie, nigdy zaś do obłudnych krzyżaków, niszczących cywilizacyjnie a w razie możności i politycznie.

Nie ludzimy się skutecznością tej rady. Koło polskie w Berlinie zbyt jest seminaryjnym duchem dawnych, długoletnich stosunków przejęte, ażeby zdołało zmienić odrazu swą politykę a przynajmniej wyrzec się dawnych sprzymierzeńców i tej nieszczęsnej „grawitacji“, która punkt ciężkości życia narodu przenosi daleko poza jego granice. Książa Radziwiłłowie tak łatwo wpływu swego nie tracą, bo wynaturzeniem się swoim nie rażą tak bracia naszych pod panowaniem pruskim, jakby razieć powinni.

Niedawno czytaliśmy zapewnienie, że ziemię Niemcy polakom ciągle po kawałku odłamują, ale duch mężnie odpiera wszystkie ich natarcia. Gdyby dowodem tego być miało wystąpienie księdza Radziwiłła, możnaby przypuścić, że jeszcze mniej ultramontanom poznańskim zostało ducha niż ziemi. Przypuszczamy jednak, że ten żywioł nie sam wypełnia prowincję polską w Prusach i że skutecznie przeciwstawia go inne, ciężące nie do Fuldy i Meppen, ale do Poznania, wreszcie do innych ognisk naszego plemienia.

RESZTA SEJMU LWOWSKIEGO.

Los był nieubłagany dla Galicji: nie tylko dał jej odrobinę ludzi wolnomyślnych, ale jeszcze tym ludziom odrobinę rozumu politycznego. Zręczność, przebiegłość, plan działania, odwagę i umiejętność zwierania

szeregów posiadają tam niemal wyłącznie stańczycy: nie też dziwnego, że oni zdobywają teki ministerjalne i mandaty poselskie, oni wreszcie nadają kierunek obradom sejmowi lwowskiemu. Co on podczas ostatniej kadencji chciał zrobić — pomijamy, co zrobił — obliczmy.

Po długim wzajemnem odejmowaniu od siebie projektów stańczykowskich, postępowych, „ateńskich“, rusińskich, podolskich, wreszcie zatamowaniu słowotoków z ust pp. Abrahamowicza i Wolańskiego, otrzymano następującą resztę:

1) Rząd przedstawił sejmowi wniosek ograniczenia samodzielności gminy w sprawach policyi miejscowej, postawienia na czele rad powiatowych dzisiejszych starostów oraz połączenia wydziału krajowego z namiestnictwem. Na żądanie to, skierowane do przesunięcia autonomii władz dołu ku górze, poseł Grocholski wraz ze swą grupą (postępową) radził odpowiedzieć, że dopóki sejm nie będzie miał mocy orzekania w sprawach administracji krajowej, dopóty i tej kwestyi załatwić nie może, albo raczej nie chce. Stańczycy jednak, którzy z zasady są przeciwnikami odpowiedzi przeczących, dopełnili tę uchwałę projekciem pożądaną reformy administracyjnej. I byłby stańczykowski korab, którego Noe, L. Wodziecki, otrzymał z dzióbka kompromisowej gołębiczy gałązki oliwnej, osiadł na stałym lądzie, gdyby nagle niesfornością języka nie popsuł przedsięwzięcia jeden z gatunków krakowskiej arki — poseł Zatorski. Broniąc swoje stronnictwo, tak nieopatrznie wypowiedział się z jego ukrytych myśli, tak szczerze wyraził chęć zniesienia samorządu i wzbogacenia jego prawami namiestnictwa oraz korony, że już pozyskana większość sejmu, przerażona myślą utraty tak świeżych dobrodziejstw autonomicznych, cofnęła się w popłochu od stańczykowskiego projektu i pozostała jedynie przy odpowiedzi przeczącej. P. Zatorski, któremu „przyjaciele polityczni“ zaraz na miejscu porażki dali ostre napomnienie, będzie zapewne ostrożniejszym, ale tymczasem reforma zawisła na kołku.

2) Istotnym i poważnym wynikiem obrad sejmowych było uchwalenie banku krajowego, mimo opozycji p. Wolańskiego, który zamiast tej instytucji proponował udzielenie ekonomicznym potrzebom kraju

1 miliona rubli jednorazowej gratyfikacji, p. Abrahamowicza, który chciał kredyt — ową „chorobę naszego wieku“ — utopić w swej wielomówności, oraz p. Dobrzańskiego, który, jako poseł rusiński, tem usiłował dowieść miłości dla swego ludu, że jako dyrektor banku kałuszyńskiego, pobierającego 10—12%, głosował przeciw instytucji pomysłanej przez polaków, która ma pobierać tylko 4—5%. Bank krajowy ma być wielką dźwignią kredytową, ma udzielać kredytu hipotecznego do połowy szacunku własności gruntowej i budowlanej, zasilać kasy gminne, popierać przedsiębiorstwa przemysłowe, wspomagać funduszami rozmaite stowarzyszenia, dokonywać konwersyj wysoko oprocentowanych długów i t. d. Naturalnie dobrodziejstwa podobnej instytucji spłynąć winny przedewszystkiem na lud i również naturalnie musieli się temu sprzeciwić prawowici galicyjanie. Niektórzy ze stańczyków a głównie „ateńczycy“, mianujący się dość zabawnie „klubem ekonomistów“, usiłowali minimum realności, uprawnionej do otrzymania kredytu, podnieść do 1,000 złr., minimum zaś pożyczek do 200 złr. Szczęściem, humanitarne to usiłowanie nie osiągnęło celu, gdyż najniższą normę pożyczki wprowadzono do 100 złr. i panowie „ateńczycy“ stracili sposobność usprawiedliwienia swego zbyt zaszczytnego tytułu.

3) Jeżeli przy poprzednich pożyczkach zwycięstwo stańczyków było wątpliwe lub przez błędy niekarnych szermierzy stronnictwa udaremnione, zato pod dowództwem p. Popiela odniosło ono zupełny tryumf na polaszkolnem. Dbały ten okrzyk ultramontanów sadzonek poseł wystąpił z wnioskiem założenia bursy dla uczniów lwowskiego seminarium pedagogicznego, na co kraj ma ofiarować 20,000 zł. rocznie. Niema między naszymi czytelnikami tak łatwowiernego, któryby się nie domyślił, że owa bursa będzie nową filią propagandy klerykalnej. Przy rozprawach nad tym przedmiotem obnażył się dostatecznie stańczykowski plan wychowania szkolnego, w którym dla nauczyciela jest miejsca mało, ale dla księdza bardzo dużo. Jakkolwiek do składki powołany będzie cały kraj, żydzi — rzecz prosta — zostali z bursy wyłączeni. Słusznie przeciwko temu ograniczeniu zaprotestowali posłowie

5)

Z mojego pamiętnika.

L. Börnego.

W dniu rocznicy pod Lipskiem przejeżdżałem przez Szampanię. Dzień 18 października obchodzą teraz w Niemczech tylko wolne miasta. Dzieje się to dlatego, żeby uwiadomić *franco* kupców londyńskich, że ich interesy dobrze stoją, i przypomnieć raz na rok dostojnym sprzymierzonym ich przyrzeczenia. Był to czas zbioru winobrania; młode dziewczęta rzucały kosze pełne jagód do karety pocztowej spodziewając się, że im za nie wyrzucimy pieniądze. Kupilem wielki zapas, a jedząc zapomniałem, kiedy przybyłem przed rogatki Paryża.

Tegoż poranku widziałem u stoku lesistego pagórka młodą żebraczkę, siedzącą pod cieniem dębu; na plecach niosła w torbie żebraczej złotowłosego chłopca. Dziecię to stanowiło jej jedyny pakunek. Chłopak był pewnie od urodzenia nie myty — lecz z po za ciemnych chmur jego twarzy błyszczały porpurowe usteczka. Promienie słoneczne ogrzewały go, jak gdyby były jego matką, a on królewskim dzieckiem. One go wykarmiły i wyrósł silny.

Trawa i drzewa schylały się przed nim, leśne ptaszki — te szeptały dworaki — swiergotały około niego, a łagodny wietrzyk schlebiał jego fantazyjnym loczkom. O jak szczęśliwym jest to dziecko! pomyślałem. Bez troski, noszone przez niestroskaną również matkę od wsi do wsi, z pola na pole, z lasu do lasu! Ono nie ma nic do stracenia; życie jego to gra w loteryę bez stawki, a jeśli jego numer wyjdzie, musi wygrać! Może powiesz go kiedy — ależ to nie powiększa kłopotów, lecz je usuwa. Jakżeż nudnem natomiast i niesmacznem jest bydzieckiem zaonych rodziców, a nawet być pocziwym człowiekiem i mieć dobre dochody. Głupie z nas osły: zamiast swobodnie zerować tam, gdzie łąka zieleń — obladowani cudzem zbożem dźwigamy je bogatemu młynarzowi *Śmierci*, który dla łaskawego pana *Robaka* to zboże miele i przesiewa. Wszystko posiada, kto nie nie ma; kto wiele posiada, ten zawsze ma mało. Niech żyje lajdactwo! niech żyje po raz drugi i trzeci!

Takich samych uczuć, jakich doświadczyłem na widok szczęśliwej, niczem nieobciążonej włóczki — doznałem również, gdy wjeżdżałem swobodny, bez żadnych pakunków do Paryża. Rzucony na fale tego wiecznymi wiatrami poruszanego, burzliwego morza, płynąłem śmiało, jak gdybym się zrodził w tym żywiole; wiedziałem bowiem, że jestem gatunkowo lżejszy. Na trzech francuskich rogatkach słowych, które dumą napęliły me serce, gdyż przypominały mi olbrzymią powódź

celną w mej lubej ojczyźnie, rzucano z karetki pocztowej na ziemię wśród dżdżystej pory kufry, pakunki, zawiniątka bogatszych podróżnych; otwierano, przeszukiwano, a biedni bogaci pasażerowie musieli wszystko sami porządkować i nieustannie troszczyć się, by co nie wypadło i nie zginęło. Jęczęli jak na torturach, aż litosę brała! Ja na wszystko to patrzyłem przez okno hotelu z uśmiechem, zacierając ręce uradowany — i jako nieograniczony władca czasu używałem go już to pożytecznie, ćwicząc się w języku francuskim przez rozmowę z pocztylionami, już to przyjemnie, próbując krajowych win, już to pożytecznie i przyjemnie zarazem — drzemając w przestankach.

Dopiero na poczcie paryskiej zadowolenie moje a również kłopoty moich towarzyszy wzmożyły się znacznie. Byli to bądź mieszkańcy prowincji, bądź cudzoziemcy, przyjeżdżający podobnie jak i ja po raz pierwszy do Paryża, którzy nie umieli sobie radzić. Pakunki ich wleczono do izby celnej, gdzie panowało nadzwyczajne zamieszanie; po rewizji kufrów, brali je posługacze na barki i nie zważając na krzyki biegających za nimi właścicieli, niesli gdzie im się podobało. Tylko ja jeden chodziłem po podwórzu spokojnie, zimno, jak stary kondyktor, i wykrzykiwałem: Niech żyje demokracja! Niech żyje policya! Niech żyje hultajstwo! Przybyłem około dziesiątej godziny rano, a dopiero o czwartej zacząłem myśleć o mieszkaniu. Niemiałem żadnych przyjaciół, znajomych,

mojżeszowego wyznania, którzy zawsze w podobnych wypadkach posiadać będą niezwykły argument, że sami chrześcijanie przykładają się do utrzymania w ciemności izraelitów galicyjskich, że więc przyjąć muszą na siebie część odpowiedzialności za jej owoce. Dziwnie od tej uchwały, zastrzegającej wyznaniowość w internacie, odbijał przekazany lepszym czasem projekt posła Merunowicza, który domaga się rewizji praw i zniesienia przywilejów żydowskich w Galicyi. Jakże sejm przeprowadzi taką uchwałę w zasadzie, jeżeli w szczegółowym wypadku sam ją unieważnia? Jeżeli chrześcijanom dano przywilej posiadania swoich konwiktów, to niepodobna żydom odmówić prawa posiadania swoich chederów? Trudno, bardzo trudno nam przelknąć najmniejszą pigułkę swobody i tolerancji...

Potrącono w sejmie również chroniczną sprawę wydziału lekarskiego na uniwersytecie lwowskim; nie wzbudziła ona jednak dostatecznego zapалу. Wogółności wszystko, co dotyczy nauki, nie trafia zbyt do przekonania ojców Galicyi. Prof. Szujski może jeszcze zaproponować zmniejszenie 6 lat obowiązkowego uczęszczania do szkoły do 4, ale na wszelkie podwyżki w oświacie nikt się nie odważy. To też rozumiemy zupełnie delegatów polskich, którzy już raz zerwali w Wiedniu łeb hydrze wydziału lekarskiego we Lwowie. To jest prawdziwie po galicyjsku. Kto pamięta poświęcenie, z jakim posłowie polscy bronili podatku od dzienników, ten dziwić się nie będzie ich postępowaniu w tej sprawie.

Po odjęciu zatem czechy waśni i ultramontańskich zwycięstw, jakaż nam z obrad sejmowych obecnej kadencji pozostaje poważna reszta? Bank krajowy.

No, dobre i tyle, bo czasem trzeba się zadawałniać krasomówczymi popisami panów podolskich.

Z. W.

ZA TANIE PIENIĄDZE.

Chociażbyśmy byli zgóry przekonani, że słowa nasze przebrzmiały bez odgłosu, do-

tkniemy sprawy, która po za obrębem uwagi społeczeństwa marnieć nie powinna i która, co najmniej, na ciągłą jego baczość zasługuje.

Że nasze szkoły średnie są bardzo dalekie od zadośćuczynienia najskromniejszym nawet wymaganiom — o tem wiemy dobrze wszyscy. Oswoiliśmy się już nawet z tym faktem, nie przeraża on nas, czasem tylko martwi. W rozumnych też towarzystwach dają się słyszeć równie częste i głośnie narzekania na stan szkół, jak w prasie hymny uwielbień dla tenorów i aktorów. Że instytucje te dawniej nie były lepsze, wie każdy, kto sięgnie myślą w przeszłość i przypomni sobie własnych, szacunku godnych nauczycieli. Obok takich kilku, nielicznych zazwyczaj postaci grupuje się cała falanga ludzi, niemających zgoła żadnego ani o nauce, ani o pedagogii pojęcia, prowadzących wykłady za pomocą nazznaczenia paznokciem „odtąd — dotąd“ i utrzymujących ład i spokój w klasie przez wymierzanie kar cielesnych. Dziś stan ten o tyle się przynajmniej polepszył, że owe kary wykluczyła ustawa, a wykład „paznokciowy“ zmienia się kolejno z ustnym, który jednak, nawet w szkołach warszawskich, nie zawsze bywa takim, jakim mógłby być i powinien.

Pisarew w jednym z artykułów o szkole wszystkich tych, którzy domagają się jej reformy dla przerobienia społeczeństwa, porównywa złośliwie, choć nie bez słuszności, do „wędrownego węgra“, sprzedającego truciznę na karaluchy z objaśnieniem, iż należy przedewszystkiem złapać robaka, otworzyć mu pyszczek, nasypać proszku na język, a wtedy karaluch niewątpliwie po dwu godzinach zdechnie. W istocie, udoskonalenie szkoły jest dopóty zupełnie niemożliwe, dopóki społeczeństwo nie wyrobi w sobie samo tych czynników, które się na to udoskonalenie składają. „Karaluch złapany“ — mówi Pisarew, skoro społeczeństwo jest zreformowane. Lecz bywa często inaczej: zdarza się, iż szkoła, jako machina ciężka i nader złożona, postępuje wolniej niż społeczeństwo, pozostaje po za niem w tyle; a wtedy raczej do powstrzymania niż do przyspieszenia rozwoju służy.

Taki właśnie stan rzeczy istnieje, jak widzimy, oddawna u nas. Żdaje nam się, iż w długim okresie czasu jedna tylko

w epoce Kollataja i Czackiego jaśniała chwila, w której wychowanie publiczne odpowiadało, jeśli nawet nie przewyższało, potrzeb narodu. Dziś, gdy z góry nakreślona ustawa wskazuje z całą ścisłością program i zakres nauki szkół średnich, wszelkie rozprawy nad naukowem ukształtowaniem gimnazjum byłyby polemiką, zaostrzającą stare spory o kierunek realny lub klasyczny, spory, po największej części na wzajemnem niepojmowaniu się walczących oparte. Każdą jednak ustawę można wykonywać lepiej lub gorzej, a nadto, każdej, jak obosiecznego miecza, na szkodę lub pożytek społeczeństwa użyć. Niewątpliwie, w granicach ustawy można by zrobić bardzo wiele ulepszeń, za pomocą bardzo prostego środka, t. j. przez dobranie odpowiednich nauczycieli; boć ostatecznie cała wartość szkoły od ich wartości zawisła.

Rzekliśmy, iż społeczeństwo nasze w rozwoju wyprzedziło szkołę; o dobór więc dzielnych nauczycieli powinno być nader łatwo, przewodnikom należałoby w zupełności powierzyć poprawę wychowania i rzecz sama przez się zostałaby rozwiązana. Nie trudno jednak dostrzedz, wpatrzwszy się nieco bliżej w stosunki, że tak nie jest, że najbardziej wyteżone starania stanu szkół nie polepszą, bo kompletu dobrych nauczycieli dobrać dziś u nas niepodobna. Przyczyny takiego stanu należy szukać bardzo niedaleko; jest ona tak jasną, iż bije w oczy z... małego uposażenia pracy pedagogicznej.

Szkoły rządowe za jedną godzinę lekcji na tydzień płać 40 rs. rocznie; prywatne płać 50 — i to nie wszystkie, bo niektóre po 30 rs. Najhojniejsza Szkoła Techniczna kolei War. Wied. wynagradza nauczycieli w stosunku 60 rs. za godzinę tygodniowo. Wobec takich norm można przyjąć, iż średnią roczną płać za godzinę tygodniowo jest 40 rubli. Nauczyciel więc, który ma dziennie 6 godzin lekcji, czyli 36 w ciągu tygodnia, otrzymuje za to przez cały rok 1,440 rubli, co dla człowieka, posiadającego rodzinę, wystarcza za ledwie na dźwignięcie brzemienia obecnej drożyzny. O kupowaniu książek i prenumerowaniu czasopism, o utrzymywaniu stosunków ze światem naukowym w takich warunkach marzyć nawet nie można. Lecz ponieważ

adresów; lecz to mnie wcale nie martwiło. Biegałem przez dzień cały od Palais-Royal do Tuileriów, od Tuileriów na plac Vendôme, stamtąd na Bulwary, a z tych na plac Bastylli. Pierwszego już dnia zwiedziłem połowę miasta. Jedno tylko nabawiało mnie kłopotu. Poczta pędziła ze Strassburga trzy dni i trzy noce, tak że dla najpotrzebniejszej rzeczy nie miałem potrzebnego czasu. Łatwiej pozbyłem się w drodze mych pieniędzy, aniżeli tego, za co zapłaciłem.

W Paryżu miałem dość potrzebnego czasu, lecz nie było potrzebnej sposobności; a nie wiedziałem, jak mam sobie poradzić. Nareszcie wchodzę do pierwszego lepszego domu w Palais-Royal, idę na piętro, natęgam moje zmysły i szukam. Otwieram jedne drzwi, wsadzam głowę — pusty salon restauracyjny, na stołach leżą tylko napiętrzone srebrne naczynia. Przestraszony cofam się prędko. Idę na drugie piętro; otwieram znowu drzwi, a ujrzawszy jakiegoś starego rytownika przy pracy, mówię *pardonez, Monsieur* i prędko drzwi zamykam. Na trzeciem piętrze otwierałem podobnie wiele fałszywych drzwi, a przepraszając naprzemiany: *pardonez, Monsieur, pardonez Madame*, posuwałem dalej swoje odkrycia. Nareszcie na czwartym piętrze spostrzegam drzwi z małym, okrągłym, oszklonym otworem; sądziłem, że znajduję się u celu, szybko otwieram i oto zobaczyłem — młodą ładną dziewczynę. Rzekłem już owo zakłętę: *Pardonez Madame*, lecz *notre Dame* chwyciła mnie za ramię i po-

ciągnęła w głąb, zasuwaając drzwi. *Reposez vous, Monsieur* rzekła grzecznie. Pośpiech zrobił mi cnotliwym, położyłem pięćiofrankówkę na stoliku jako podarek a wdzięczna ta istota zapoznała mnie natomiast z topografią domu. Musiałem przejść jeszcze jedne schody. Tak w obcym domu dostałem się aż pod dach, weiskając zakłopotane me oblicze we wszystkie prawie drzwi. Gdybym nie miał pieniędzy w kieszeni, z pewnością dziesięć razy schwytałoby mnie, gdyż przesuwalem się i nasłuchiwałem jak złodziej. Lecz o dziwo! prze czuto we mnie niewidzialnego Boga, uważano mnie za świętego i dozwolono mi spokojnie przejść dom cały i wyjść zeń.

Ustawiczną bieraniną znużony i głodny, wstąpiłem do kawiarni, aby zjeść śniadanie, wypocząć i dalej puścić się na wędrowkę. Ciężki Reichard zaważał mi w kieszeni — prosiłem tedy piękną damę za kantorem, by mi go przechowała, mając zamiar zabrać go dopiero na wychodnem. Ale ta z nieopisaną uprzejmością wstrząsała swymi czarnymi lokami, zwróciła książkę mówiąc: *Ohi! Monsieur*. Zmieszało mnie to. Położyłem książkę na stole i zapłaciłem za bilet na jej oprawie. Dama zgarnęła pieniądze, wzięła następnie książkę z większą uprzejmością, aniżeli ją zwróciła przedtem, schowała do szuflady, oświadczaając, że starannie ją przechowa. W pięć minut dopiero wyjaśniłem sobie jej postępowanie. Pocziwa francuska myślała zapewne, że nie mam pieniędzy i za śniadanie chcę w zastaw dać książkę. Nie przyjęła jej,

udając, że nie spostrzega mego zmieszania. Sprawilo mi to wielką przyjemność i nie ani przedtem, ani potem nie zatarło we mnie tego wrażenia. Francuzi zawsze wydawali mi się uprzejmi, zawsze ludzie — ludzie w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu. Nietylko to jest ludzkością, jeśli przychodzimy komuś w potrzebie z pomocą, gdy o nią prosi — bo i któżby miał dość do tego siły i dobrej chęci — lecz jeśli po ludzku czujemy i umiemy biedę każdego odgadnąć i zrozumieć. Umieją to francuzi, są bowiem *całymi* ludźmi; nie umiejaniemycy, ponieważ są tylko częściowymi; są oni małomieszczanami nawet w wielkich miastach i rozumieją szczęście lub nieszczęście tylko u ludzi swej sfery.

Zbliżający się zmierzch przypomina mi, że nie mam na noc żadnego przytułku. Wyszukałem tedy hotel pięknie otynkowany i oszklony, wszedłem i zażądałem pokoju. Na pytanie gospodarza, czy ma kazać sprowadzić rzeczy moje, odpowiedziałem krótko, że żadnych pakunków nie mam i że później nadejdą. Zmieszał się trochę — nic dziwnego, prosta zarzutka bobrowa, kupiona w Mannheim, sięgająca za ledwie po kolana, ubogi dawała mi pozór. Dano mi jednak pokój — sądząc zapewne, że można jedną noc zaryzykować. Postanowiłem codziennie załatwiać rachunek, ażeby gospodarza uwolnić od usprawiedliwionej obawy. Gdy nazajutrz zapytałem o niego, już wyszedł i przez cały dzień nie mogłem się z nim widzieć. Następnego dnia rankiem wszedł sam do mnie,

nie los nauczycieli, ale los szkoły w tej chwili nas obchodzi, więc zamknijmy uszy na ich skargi i przyjrzyjmy się, jakie skutki z małego uposażenia nauczycieli wynikają dla samej szkoły.

Pierwszym i niewątpliwym jest usuwanie się z niej wszystkich jednostek energicznych i zdolniejszych, które na każdym innym polu mogą mieć nadzieję zdobycia wygodniejszych warunków bytu; podczas gdy niwa pedagogiczna daje tylko 1,440 rubli i to zarówno po 30 latach pracy, jak i w jej początku.

Drugim, także niewątpliwym skutkiem jest to, że dla powiększenia swych dochodów nauczyciele zarabiają lub starają się zarabiać więcej, niż im dają zajęcia szkolne a za najprostszy środek do tego służy przyjmowanie lekcji prywatnych i uczniów na stancję.

Dorobek ten sprowadza najbardziej opłakane następstwa — przeciąża bowiem pracą umysłową tych, którzy wówczas tylko z pożytkiem prawdziwym działać mogą, gdy są zupełnie nieznużeni, niezmordowani. Dość spojrzeć na zebranych w kancelaryi nauczycieli: pomarszczone i zbolale twarze, nie czynią ich podobnymi do tych, którzy delikatną dłonią przyszyły kwiat narodu hodować mają.

Lecz nie o powierzchowną obserwację tu chodzi. Fizyologowie wiedzą, ile to krwi arterialnej zużywa wyczerpana praca umysłowa. Gdyby do pracy nauczyciela, wykładającego 6 godzin dziennie, zastosować przyjęty równoważnik roboty fizycznej, to wypadłoby $3 \times 6 = 18$ godzin rąbania drzewa lub noszenia wody — czego najtęższy drwal nie dokona.

Z tego przeciążenia pracą, nieuknionego przy małym uposażeniu, nieodbitcie wypłynąć musi upadek umysłowy. O czytaniu, kształceniu się, obmyśleniu ułatwień w wykładzie marzyć nawet nie może zgnębiony murzyn.

Dwaj najzdolniejsi w Warszawie nauczyciele matematyki zapewniali mnie, że dobrych lekcji mogą udzielić najwyżej trzy dziennie; że mając więcej, wszystkie prowadzą licho. Nawet po wielu latach wykładu odświeżanie sobie kursu przez czytanie odnośnych dzieł jest rzeczą niezbędną. Czy zaś może o tem myśleć człowiek, dający 6 lub 7, a zwykle jeszcze wię-

cej godzin lekcji, straszony ustawicznie widmami rozmaitych potrzeb i nędzy na wypadek choroby?

Tyndall wyznaje w swoich pismach, iż jedną z najpiękniejszych epok jego życia był czas, kiedy wykładał elementarny kurs geometrii w jednym ze średnich zakładów naukowych Londynu. Z opisu tych lekcji przez samego Tyndalla wynika, że na każdą z nich przygotowywał się bodaj czy nie dłużej, niż na owe sławne odczyty, którymi w Europie i za Atlantyką podziw wzbudzał. Gdyby nasi nauczyciele na każdą lekcję chcieli się podobnie przygotowywać, wówczas doba powinna mieć co najmniej 240 godzin.

Nie chodzi nam, jeszcze raz powtarzamy, o materialny byt jednostek. Rodzin, które za półtoratysiąc rubli utrzymać się muszą, jest w kraju bardzo wiele, i byłoby dobrze, gdyby ta suma stanowiła przeciętny dochód każdej rodziny w Polsce. Idzie nam o co innego: mianowicie o to, że ilość pracy, wymagana za tę cenę od pojedynczego człowieka, jest większą, niż on drogą największych wysiłków dać zdolny. Nie mogąc dać dobrej, daje złą — a że na tem więcej traci kupujący, niż sprzedający, to nie ulega wątpliwości.

Są ludzie rozradowani wielec tem, że uczniowie nie uczą się dziś geometrii z książki na pamięć bez figur, jak to się działo za dawnych dobrych czasów. Ci wszakże optymiści zapominają o tym małym fakcie, że postęp na nikogo nie czeka; że dzisiejsze nasze szkolnictwo wraz z pedagogami, wymysławiającymi dzieciom wstępnej klasie od „bezrozumnych zwierząt“, zadającymi dziewięcioletnim chłopcom z gramatyki podział zaimków na grupy i popełniającymi inne naukowe i pedagogiczne dziwolagi, — jest w porównaniu do zagranicznego, jeśli nie gorsze, to stosunkowo nie lepsze od dawnego. U nas przez ten czas zrobiono naprzód krok jeden, a u sąsiadów postąpiono o dwadzieścia.

Mierzmy ludzi miarą ludzką. Nie chwalać ani ułomności w wykładzie, ani brutalstw w postępowaniu, pamiętajmy, że ludzie z materialnych powodów zmuszeni traktować swój zawód jako rzemiosło, na wyższe jego stopnie czasem wznieść się nie mogą.

J. J.

Z NIEMIEC.

Prąd ku lewej stronie. — Rezultat wyborów. — Pytanie i niepożądana odpowiedź. — Statystyka emigracji niemieckiej. — Ostrzeżenie. — Nowe wydawnictwa. — *Auf der Höhe*. — Tajemnica łączności polskich autorów z p. Sacher-Masochem. — Żydowski Rafael. — Początek życia organicznego. — *Vom Fels zum Meer*. — Za dobrym przykładem.

„Prąd zwrócił się na lewo, nie na prawo“ — jak pragnęli i przepowiadali z nakazu Pytyi warzńskiej „dobrowolnie urzędowi“ jej kapłani z Kalchasem dziennikarskiej sromoty, p. Pindterem na czele. Na ich okrzyki: *albo albo!* za lub *przeciw* Bismarkowi! — na odwołanie się do „narodu“, od którego kanclerz niemiecki zażądał votum zaufania dla swej polityki wewnętrznej — rezultat wyborów odpowiedział takdalece przecząco, że oświadczył się *przeciw* Bismarkowi. Stronnictwa opozycyjne wzrosły, rządowe zmalały — taki jest piorunujący i upokarzający dla rządu wynik tegorocznych wyborów do sejmiku niemieckiego. Przy głównym ołtarzu germańskiego boga, skąd on rozsypuje po kraju swe gromy i dobrodziejstwa, skąd blaskiem promienieje i potęgę rozpościera — w Berlinie przeszli postępowcy, którym usiłowano wydrzeć chociaż jeden mandat dla Stöckera. W innych miastach równie zwyciężyły żywioły wrogie kanclerzowi, który nadewszystko utracił ze swej służby wielu narodowych liberałów i konserwatystów. Nawet socyalni demokraci, mimo praw wyjątkowych, mimo stłumienia wszelkiej na ich korzyść agitacji, mimo gwałtów wreszcie zdobyli większą niż dawniej liczbę głosów. Tym razem więc Bismark-stawkę przegrał a przegrał ją tem dotkliwiej, że w ostatniej chwili uciekł się do plebiscytu. Przez wszystkie telefony dziennikarskie grzmiało z Warzina wezwanie: narodzie objaw swą wolę: czy jesteś za mną, czy przeciwko mnie? Przeciwno ministeryalnemu despotyzmowi, przeciwko reakcyi, przeciwko ciężarom ekonomicznym, przeciwko prawom wyjątkowym, przeciwko nieokiełznanej woli łamiącej ustawy konstytucyjnej — odpowiedział naród daleko liczniej, niż kiedykolwiek. Jeżeli kanclerz

uściskał mi rękę — wyglądał jak uosobiona uprzejmość, a nawet serdeczność. Dowiedział się z gazet, iż przybyłem do Paryża jako polityczny wychodźca. Ofiarował mi cały swój dom, stół, nawet sakiewkę. W lepszych okolicznościach oddasz mi pan — mówił. Przez dni czternaście tj. do czasu, póki moje kufrы z Niemiec nie nadeszły, daremnie codziennie prosiłem o rachunek. Dopiero gdy rzeczy moje przybyły, a gospodarz widział, że nie jestem bez środków, przyjął zapłatę.

Tak postąpił francuz, dla którego byłem obcym. Wkrótce poszedłem do znajomego, w Paryżu zamieszkałego kupca-niemca i prosiłem go o pozwolenie przesłania na jego ręce moich kufrów, gdyż nie będąc pewnym, czy dłuższy czas zabawię w dotychczasowym mieszkaniu, nie mogę przyjaciół moim podać żadnego pewnego adresu. Zaniepokoił się już memi odwiedzinami, skoro zaś prośbę usłyszał, przestraszył się, zmieszał — aż litość brała. Zaczął mię zaklinać, abym go wraz z moimi pakunkami oszczędzał; wyczytał bowiem w dzisiejszych dziennikach, iż jestem wpłątany w sprawy polityczne, w które nie chciałby się wdawać. *Je suis père de famille* — błagalnie mówił głupiec. Za wiele od niego wymagałem; był nie tylko Niemcem, lecz także żydem, więc zającem z ośmiu nogami. Pozwoliłem mu uciec. Jest to jednak wskazówka dla mężów stanu, że jeśli chcą zakończyć z wszystkimi strasznymi liberałami, nie mogą zrobić nic mądrzejszego, jak kazać ich obrzezać i zamienić na żydów.

Wtedy liberały staną się łagodni jak baranki — a zakupieniem papierów państwowych złożą kaucję za swe spokojne zachowanie się.

Przez dni czternaście dzienniki paryskie różnych stronnictw mówiły o moim przybyciu. Używały mnie naturalnie tylko jako farby i jedne rozcierały mnie służalczo tłuczkiem, inne gotowały liberalniemiętko, jednak mówiono o mnie. Nie mogłem oczom wierzyć. Czyż jestem najwyższą osobą? kuryerem, primadonną, urzędnikiem obchodzącym jubileusz? Niezem podobnem, a przecież mówią o mnie dzienniki. Co to za głupi ludek! Szczególniej utkwił mi w pamięci długi artykuł w *Journal des Debats*, w którym częścią mitologicznie, częścią biograficznie opowiadano, że jestem żydem, jakobinem, człowiekiem zdolnym, wysłannikiem niemieckich demagogów do Paryża dla otrzymania *mot d'ordre* z *Comité directeur*. Ale — tak kończył artykuł — byłem *d'aillieurs un homme de bonne foi*. Ponieważ *Journal des Debats* był wówczas dziennikiem ministeryalnym, mogli więc lojalni Niemcy na niego przysiąc, jak na austriackiego *Beobachtera* i pruską *Staatszeitung*, że jestem rzeczywiście *un homme de bonne foi*. Uwierzą mi przeto, że nie byłem emisariuszem niemieckich demagogów do Paryża, że nie poznałem żadnego *Comité directeur*, że nigdy tenże nie istniał i że nie otrzymałem żadnego *mot d'ordre*. *Mot d'ordre*, ja, któremu tylko ja sam i mój lekarz coś przepisywać może. Miły Boże! nie jestem przecież takim głupcem!

Zaraz pierwszego dnia po przybyciu, zanim jeszcze dzienniki o mnie wspomniały, bardzo wielu Niemców odwiedziło mnie; żadnego nie znałem, każdy jednak z nich zapewniał, że zna mnie doskonale — co zresztą było możliwem. Bóg wie, jakim sposobem dowiedzieli się o moim adresie. Karmini mię francuskimi pieszczotami, ciągał z sobą, brali do swego towarzystwa, chwytały serdecznie za ręce, przyciskali do piersi, ujmowali za szyję, tak że jamy naszych ramion tworzyły kapsle, w których można byłoby umieszczać kule mydlane. Pytali, co też słyszał w kochanej ojczyźnie? Odpowiadałem, jak dziecko lub głupiec. Umiem wprawdzie milczeć, gdy chcę, lecz nie lubię. Dla czego? Bo czasem mogę natrafić na taką glebę, że gdy tam padnie małe nasionko — zapuszcza w niej korzenie. „Biedna ojczyzna!“ Wołali Niemcy i szukali wzajemnej pociechy w przyjacielskich spojrzeniach. Szczerze pragnąłem podusić lotrów! Tak przeszło dni kilka tj. zanim wyrzperpały się moje usta; wtedy znikli i odtąd nie widziałem ich już nigdy. Bodaj ich djabeł porwał! — jeśli w tych dziesięciu latach, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu tego nie uczynił.

do tej odpowiedzi przywiązuje jakąś wagę, jeżeli nie podepże jej tak, jak podeptał wiele praw ustroju Niemiec. powinienby w niej uznać poważną przestrożę.

Nie brakło mu przed wyborami ostrzegających znaków. Gdyby mógł a nade wszystko chciał wpatrzeć się w statystykę wychodźstwa niemieckiego i podsluchać, co mówią jej cyfry, znalazłby w nich wyrok dla swej polityki i dla wszelkich z nią pokrewnych systematów. Olbrzymie te cyfry usiłowano objaśnić silnym popędem Niemców do emigracji. Kto wszakże badać umie albo swych myśli „dobrowolnie urzędową” logiką, podszywać nie potrzebuje, przyznać musi, że na potok emigracyjny składają się głównie, jeśli nie wyłącznie, przyczyny polityczne i ekonomiczne. Przypomnijmy sobie największe wędrówki niemieckie do Ameryki: w r. 1780 nieurodzaj i ucisk (Wirtemberg); w r. 1817 głód; 1831—40 oraz 1851—60 reakcja; 1866 wojna; 1871—3 zawiędzone nadzieje zjednoczenia Niemiec. Nader pouczające są świeżo ogłoszone z lat dziesięciu wykazy emigracji niemieckiej przez dwa miasta portowe: Bremę i Hamburg, z których okazuje się, że gdy w r. 1879 wywędrowało tamteży 28,993, w r. 1880 już 94,414, w bieżącym zaś przez sam Hamburg od stycznia do końca kwietnia 45,752. Dodać do tego należy pokażne liczby emigrujących przez Szczecin i Antwerpię (przez którą w roku zeszłym przeplętnęło 11,224 wychodźców), a będziemy mieli przybliżony obraz olbrzymiej ucieczki przed dobrodziejstwami bismarkowskiego gospodarstwa, które w roku 1879 na 100,000 mieszkańców Niemiec wystraszyło z kraju 140, a w r. 1880 już 4,400. Zadowolenie... wzrosło!

Czy cyfry te nie pozostają w zupełnej zgodzie z wynikiem obecnych wyborów i nie objaśniają, dlaczego „prąd zwrócił się na lewo, nie na prawo?”

Ważność tego zwrotu nie ogranicza się do samych Niemiec. Dzięki swej potędze służą one za wzór i za zegar, regulujący życie innych narodów. Może też i one skazówki swe nieco przesuną...

Zbliżający się rok nowy rzucił już pierwsze płatki literackiego śniegu, które bądź stopnieją szybko, bądź zatrzymują się na wyżynach. Do wyżyn tych ma pretensję, przynajmniej tytułem, rozpoczęte świeżo w Lipsku przez osławionego Sacher-Masocha wydawnictwo miesięczne *Auf der Höhe*. Wydawnictwo to a raczej lista jego współpracowników, między którymi znaleźli się dwaj polacy, Kraszewski i Okoński, dało powód w prasie warszawskiej do rozmaitych komentarzy i zaprzeczeń. Podczas gdy Kraszewski w *Tygodniku Ilustrowanym* wystąpił z zastrzeżeniem, ażebyśmy, nie uprzedzając się, poczekali z sądem na spełnienie faktu, Okoński zaś wyparł się wszelkiego współpracownictwa, sam p. Sacher-Masoch w pierwszym zeszycie daje nam rozwiązanie zagadki: jakim sposobem polscy a może i inni pisarze znaleźli się w jego saku. Oto zamierza on tłumaczyć w swem piśmie ich utwory (*Klemensa Borutę* Okońskiego). Wobec nieograniczonej swobody przekładów z polskiego na niemiecki ma on do tego zupełne prawo; nie miał prawa jedynie kłamać w listach do gazet warszawskich, że dwaj autorowie *przysięgli* mu swe współpracownictwo. Jest to jednak grzech, który z pewnością takim u bandycie nie sprawi wyrzutów sumienia. Ale zajrzyjmy do jego miesięcznika. Rozpoczyna go nadęty wiersz H. Lingga „Geniusze ludzkości,” po którym idzie powiastka Sacher-Masocha „Żydowski Rafael” (*Judenraphael*). Naturalnie wątek jej osnuty na stosunkach polsko-rusko-żydowskich w Galicji. Owym Rafaelem jest syn księdza unickiego Plutina, który nie chce się uczyć, lecz rysuje, wycina figurki z papieru a — oddany do szewca — ze skóry, następnie kształci się u prowincyo-

nalnego malarza, wreszcie pędzi awanturnicze i tułaczkie życie wśród jakiegoś cygańskiego grona, rysując ustawicznie charakterystyczne głowy żydowskie. Przy rodzącej się miłości Plutina do modelu na Madonnę, pięknej izraelitki, zawiesza autor niezbyt wyteżoną uwagę czytelnika, który dopiero w dalszych zeszytach ma się dowiedzieć o losie bohaterów. Jak wszystkie utwory Sacher-Masocha i ten odznacza się mdłą fantazją, brakiem wszelkiego realizmu, którego obowiązki pełni nieśmiertelna w pomysłach tego pisarza *kacabajka* wraz z nielicznym poczetem miejscowych nazw i wyrażań. Że i ta nowella Sacher-Masocha, który — prawem kaduka zyskał w literaturze niemieckiej sławę wiernego malarza Galicji, dałaby się przylepić do każdego europejskiego, amerykańskiego lub wreszcie azjatyckiego gruntu, nie ulega wątpliwości.

Na treść pierwszego zeszytu *Auf der Höhe* złożyli się dalej: nieboszczyk Bluntschli, Sanders (o właściwościach językowych Lessinga), R. Oberländer (król Kalakua i królestwo Hawaj) i inni wraz ze sprawozdawcami. Bezspornie największą między wszystkimi artykułami wartość posiada rozprawka K. Vogta: „O początku życia organicznego,” godna bliższego czytelników naszych zastanowienia.

Co to jest życie? Jaki jego początek? Jaki koniec?

Pytań tych nie rozstrzyga Vogt metafizycznie. „Im bardziej postępuję — mówi on — tem głębiej się przekonuję, że tak zwane filozofowanie nigdy jeszcze nie rozwiązało żadnej zagadki, lecz służy tylko do osłonięcia naszej niewiedomości i niemocy. I dlatego zgadzam się zupełnie z poetą, który powiada: „Spekulujący gawron podobny jest do zwierzęcia, które wodzone przez złego ducha błąka się po pastwisku, podczas gdy naokoło rozpościera się zielona trawa.” Dawniejsza wiedza, przyjmująca „siłę życia” i odgraniczająca ściśle świat organiczny od nieorganicznego, miała nietrudne zadanie; dzisiejsza jednak granicę tę usunęła. Nie znaczyto przecie, ażeby zupełnie nie odróżniała obu światów. Ciała bowiem organiczne pochodzą od przodków, które posiadały pewną oznaczoną formę; tymczasem nieorganiczne powstają pod wpływem pewnych warunków i nie mogą być wywiedzione od przodków, posiadających określoną postać. Kryształy soli np. rodzą się z roztworu, w którym nie było żadnych kryształów. W pracowniach naszych otrzymujemy codziennie tysiące ciał nieorganicznych, które nigdy w naturze nie istniały i których ona nigdy nie wytworzy; naodwrot, możemy sztucznie wyrabiać te, które ona wyrabia. Jakkolwiek wiedza nasza znacznie postąpiła w znajomości materij organicznych i jakkolwiek dziś z pierwiastków twórczych umiemy w laboratoryach składać takie ciała, które dawniej uważano za wyłączne płody natury, jednakże przepaść nie została jeszcze zapełniona, gdyż dotąd nie możemy sztucznie wytwarzać żywych organizmów z oznaczoną formą. Jest to właśnie punkt, około którego krążą wszystkie usiłowania badaczy. Nikt nie zdołał dotychczas wskazać faktu pierworództwa organicznego. Łańcuch biologiczny niema końca. Cofnąwszy się najdalej, nie znajdujemy takiej pierwotnej praistoty, któraby powstała skutkiem współdziałania pierwiastków martwych. Niemożliwość wszakże objaśnienia faktu nie usuwa pytania z nauki, która swego ostatniego słowa jeszcze nie wypowiedziała i zrzekać się dalszych poszukiwań nie potrzebuje. Opierając się na domniemaniu, że najniższe organizmy znajdują się w głębiach morza, tam usiłowano odszukać i odnajdywano pierwsze zarodki życia. Jeżeli cała nasza wiedza przyrodnicza, wymagająca dla życia organicznego pewnych warunków, nie myli, przyznać musimy, że życie to pojąć możemy tylko na

ziemi i że w jej tworzeniu się musiał istnieć czas, w którym ono się poczęło. Pomijając zbyt naiwne już dla obecnego naszego poznania teorie o jednoczesnem powstaniu czy stworzeniu wszystkich gatunków biologicznych z materij martwej, naukowo możemy pojąć wystąpienie życia tylko dwójako: albo była chwila pierworództwa organizmów, albo też one w postaci zdolnej do rozwoju jakimś sposobem dostały się na ziemię. Drugą tę hipotezę usunął szczególnie dr. Richter z Drezna, który nasiona życia widział w rozproszonych i spadających na ziemię ciałach niebieskich (aerolitach). Ziemia nasza — powiada on — w biegu swoim po przestrzeni niebieskiej ciągnie za sobą wir organizmów, zarodków, ciał i szczątków wszelkiego rodzaju, które łącznie z nią poruszają się w atmosferze. Wirtaki towarzyszy każdemu innemu ciału. Dlaczegoż więc owe zarodki, owe organizmy nie miałyby również wchodzić w zakres przyciągania każdego innego ciała niebieskiego, jak aerolity wchodzą w sferę naszej ziemi, i dlaczego nie miałyby tych ciał niebieskich niejako zarażać życiem organicznem? Teoria ta byłaby bardzo piękną, gdyby usiłując ją w nowszych czasach poprzeć badania mikroskopowe do wiodły, że w aerolitach i innych zresztą kamieniach znajdują się rzeczywiście ciała organiczne i że one to obsiały ziemię życiem. Ale, jak dotąd, jest to tylko złudzenie, nawet dość lekkomyślne, chociaż bardzo pojętne. Dodać przytem trzeba, że ono nie objaśnia nam wcale początku życia, lecz przenosi tylko jego zagadkę na inne ciało niebieskie.

Vogt nie rozwiązuje tej zagadki, bo przy dzisiejszym stanie nauki uczynić tego nie może. On tylko formuluje ją naukowo i ocenia wartość dotychczasowych rozwiązań.

Z wywodu jego wyluskaliśmy samo jądro, warto wszakże poznać i lupinę tej gruntownej i przejrzystej rozprawki, która posiada ten rzadki przymiot, że głowy czytelnika nie zaciemnia, lecz ją rozjaśnia.

Nader użytecznem wydawnictwem wzbogacił tak zwaną literaturę rodzinną znany nakładca szutgartzki W. Speman, który na wzór miesięcznych zeszytów Westermanna rozpoczął bogato ilustrowane czasopismo *Vom Fels zum Meer*. Zawiera ono przeważnie powiastki, ale także artykuły naukowe, umiejętnie uprząstkwione dla młodego wieku i mniej ukształconych czytelników. Wobec olbrzymiego powodzenia tego rodzaju wydawnictw w Niemczech, dziwić się należy, że uboga fantazja nakładców warszawskich zdobyła się tylko na *Tygodnik Romansów* oraz *Romans i powieść*, nie spróbowaawszy wejść do rodzin pod tą ujmującą postacią.

Liber.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Pamiętnik Soroki. *Tygodnik Ilustrowany* nr. 297—301, r. 1881).

Jerzy Soroka, którego pamiętnik ogłosił dr. Władysław Wisłocki, od r. 1772 pełnił funkcję paza na dworze Adama Czartoryskiego, następnie oficera kawalerii i koniuszego, przyczem i interesa księcia załatwiał na Litwie. „Krótka wiadomość życia” Jerzego, obejmująca przeciąg czasu od r. 1772 do 1822, stroni od faktów wydatnych, a podaje przeważnie wspomnienia z przebytej u księcia Adama służby, szczegóły, dotyczące podróży Czartoryskiego, dworu jego i życia. W pamiętniku swoim jest pan Soroka przedewszystkiem *koniuszem*. Dla scharakteryzowania upodobań jego dość jest przytoczyć, że zapomniał o nazwisku marszałka sejmu wielkiego i Racławicach, gdy najdrobniejsze

szczególne, dotyczące parad. koni i rzeczy ich, z całą subtelnością wyłożyć potrafił. Oto co o noworocznej paradzie wiedeńskiej z r. 1786 z *pamięci* (dyaryusz bowiem w r. 1812 zaginął) umiał przytoczyć. „O godzinie 10-tej JW. Rzewuski, chorąży litewski, orderów polskich kawaler, sekundkapitan, przyprowadził gwardyę galicyjską przed dom księcia jegomości i skoro sformował frontem linią, ja, Soroka, ubrany w żupanie białym atlasowym, kontuszu sukiennym ponsowym, suto galonowanym, o pasie bogatym, przy karabeli złocistej, w butach złotych, siedziałem na koniu dzielnym, osiódlanym pod rzędem srebrnym. Za mną dwóch masztalerzy w kontuszach ponsowych, żupanach zielonych z galonami srebrnymi, przy szablach oprawnych w srebro, w butach złotych, prowadziło konia siwego hiszpańskiego, za którego księciu ministrowi Kaunitzowi zapłacono czerwonych złotych 500. Drugiego gniadego, także ze stajni Kaunitza kupionego za czerw. zł. 200 i trzeciego czarnopstrokatego ze stada własnego podolskiego, prowadzili kozacy, każdego po dwóch, ubrani także w kontusze ponsowe, żupany zielone z galonami srebrnymi, pasy bogate, jak na masztalerzy, karabele w srebro oprawne, ładowniczy także z blachami, klamrami i cynglami srebrnymi, czapki czerkieskie z galonami i obszlegami z blachy srebrnej, również jak masztalerze w butach złotych. Na każdym koniu była terlica w srebro pozłacane oprawna, z rzędem garniturowym kamieniami sadzonym t. j. nagłówek, podpiersień i podogonie; kulbaki przykrywały dywdyki dwa sukienne, a trzeci aksamitny, haftowane złotem z frenzlą siatkowej roboty i kutasami złotymi, długimi do pięcin tylnych; u nagłówek przy każdym uchu miał koń każdy kitkę z piór czarnych, czapliach, oprawną i kamyczkami różnokolorowymi wysadzoną. Na wierzchu siódła każdego był zawieszony sahadak z łukiem i strzałami, kosztowny i ozdobny. Osobno kolezan czyli tarcz, dwie bogato haftowane z klamrami złocistymi, wysadzanymi drogiemi kamieniami, trzecia z rybiej skóry przezroczyta, lekka i tak twarda, że kula od pistoletu przebiłaby jej nie mogła. Nadto były jeszcze szable długie krzywe, jak u tureckich panów, które na koniach powodnych przyczepiać się zwykły, dla użycia czasu wojny i przy jednej kulbace był berdysz stalowy, mający na sobie różne drogie kamyczki i drutem złotym w desenie nawlekany, kiedyś do gonitwy i boju używany. Za wyprowadzonymi końmi jechał pułkier na ogromnie wysokim koniu ciemno-szpakowatym, z kotłami srebrnymi; za nim czterech trembaczów. Dalej j. o. książę kapitan na koniu dzielnym czarnym, kupionym od księcia Esterhazego: kolbaka oprawna w srebro pozłacane matową robotą, rząd szeroki, wysadzany dużemi krwawnikami, rytymi drutem złotym, do którego i strzemiona szerokie, złociste, także krwawnikami sadzone. To siedzenie służyło Janowi Sobieskiemu, po którym dostało się Sieniawskiemu, hetmanowi w. koronnemu, ojcu matki ks. feldmarszałka; do tej pory zachowane, odzłoczone tylko i powleczone mitinkiem aksamitnym, haftowanym w karpiową łuskę, z frenzlą złotą. Przy nagłówku u prawego ucha sterczała kitka z piór czarnych czapliach, w okółku rubinami sadzonym. J. o. książę jegomość ubrany w żupanie ponsowym i kontuszu granatowym, haftowanych naokoło złotem; czapka ponsowa z kasztanowatym barankiem, pas perski, na dnie złotem kwiatki ponsowe z zielonemi, cienki jak pocztowy papier, szeroki na pięć ćwierci łokcia, długimi łokci osiem, jak podobnego wyszukać i widzieć nie zdarzyło się nigdzie... Buty czerwone safianowe, gwiazda brylantowa, szlify brylantowe, u czapki kita z siedmiu piórami brylantowa, na schyłaniu siódme go wisiał formą śliwki węgierskiej duży

szmaragd; pod kitą kokarda także z brylantów, w jej wiązaniu wisiały trzy perły wielkie, a pod niemi soliter większy od bobu, żółtawy, który miał być darowany od Henryka Walezyusza... Tęczyńskiemu. Pałasz oprawny w złoto, na rękojeści sadzone rzędem brylanty wielkości wielogrochu, paluch i wszystkie skówki także brylantami kameryzowane, na ładowniczy blacha złota, na niej listwa naokoło szeroka z brylantów we trzy rzędy sadzonych, pośrodku cyfra „Josephus II“ z brylantów, z przodu cyngle z przetyczkami, z tyłu sprzączka i skówki złote, również kameryzowane; w miejscu taśmy łańcuch szeroki, wzorem galonu robiony. Prawe ramię okrywał lampart, klamrą kameryzowaną spięty, na szabli wisiał bizunek mały, na trzcinie osadzony, skówki u góry i dołu złote, brylancikami i rubinami kameryzowane.“

Żeby podobnymi szczegółami cały zapelnąć pamiętnik, trzeba było mieć umysł modniarki. Nie czynimy z tego Soroco zarzutu, bo wszyscy prawie pamiętnikarze nasi z XVII i XVIII stulecia ściśle, raczej wychylonych butelek podają liczbę, niż relację o sprawach ważnych; głębiej wglądają w konskie kitki, w kamyki i pasy, niż w stosunki krajowe lub też w charakter ludzi. Z innego stanowiska patrząc na życie otarci na Zachodzie ludzie doby późniejszej, uszlachetnieni w ogniu walk ciężkich i cierpień. Najsłabszy pamiętnikarz legionów lub Księstwa Warszawskiego rozległością poglądów i podniosłością uczuć takich ojców jak: Pasek, Chrapowicki, Zawisza, Matuszewicz, Ochocki i t. p. nieskończenie przewyższa.

Dr. Wisłocki ubogi, chociaż nie bez wartości, pamiętnik Soroki przypisami opatrzył obficie. Zecer zapewne podaną w przypisku datę bitwy pod Maciejowicami na 28 października zamienił; sprostowania również wymaga błędne orzeczenie Soroki, jakoby sejm czteroletni był „wolnym sejmem ostatnim.“ *Wolnem* nazywały się sejmy, na których rozstrzygano sprawy jednomyślnością; nie mógł być *wolnym* sejm wielki, gdy jako konfederacki stanowił wszystko większością.

Wł. Smoleński.

Wojna, obraz dramatyczny w 5-ciu aktach Seweryna Płomińczyka. Kijów, w księgarni Leona Idzikowskiego 1881 r.

Wbrew znanej zasadzie Schillera, że co ma żyć w pieśni, musi umrzeć w rzeczywistości — p. Płomińczyk oparł swój obraz dramatyczny na bardzo niedawnem oddaniu pod opiekę Austrii dwu prowincji słowiańskich, będących siedzibą ruchawek powstańczych. Główną treścią *Wojny* jest opór narodowy bośniaków przeciwko tej przyjaćelskiej protekcji. O ile sądzić można z całego toku i wykonania dramatu, autor nie patrzył albo nie umiał dostrzedz rzeczywistości faktów, stanowiących ośno wę jego utworu. Od pierwszych scen czujemy tu zupełny brak kolorytu miejscowego, który tak świetnie cechuje powieści Jeża, malowane na tle dziejów słowiańszczyzny południowej. Mimo to przynajmniej, że wstępne sceny ruchawki bojowej posiadają istotną żywość; że zwłaszcza figury drugoplanowe poruszają się w nich naturalnie, chociaż nie czuć w nich bośniaków z krwi i kości. Wśród tego grona stoi frazesowy bohater dramatu, Stefan, postać deklamacyjna, komunak. Jest on apostołem pokoju, zwolennikiem postępu, osiągniętego na drodze spokojnej pracy i oświaty; nie chce szarpać sił narodu w bezowocnych pokuszeniach i gotów się pogodzić z nieproszonymi opiekunami. Ale prąd wojowniczy, gorący patryotyczny, wylewający się z Jana Czarnego zwycięża. Po kilku płomiennych tyradach między dwoma przywódcami, Stefan, podniecony wieściami o gwałtach niemieckich, staje na czele ruchawki, żegna się uroczyście z narzeczoną, Anną Tomaszewicz i przez pewien czas

walczy szczęśliwie, targa nawet siódła szatana dramatu, Diamanszteina; ale mimo pancerza szlachetnych słów, upada. Zdrada wypuszczonego na wolność nędznika gubi ostatnie siły powstańcze. Chociaż Stefan walczy jak lew; chociaż jego narzeczoną przybywa w stanowczej chwili z pomocą; wódz, ugodzony kulą, pada na placu, jego kochanka ginie od austriackiej kuli, armia okupacyjna wydaje okrzyki zwycięstwa, a zdrajca zaciera ręce z radości i dopomina się u austriaków nagrody.

W upostaciowaniu pomysłu swej sztuki autor nie trzymał się ściśle narodowej strony tematu, ale chciał w duchu ogólnie ludzkim zaprotestować przeciwko okrucieństwu wojny i w duszy bohatera umieścił tę miękką humanitarną, która wywołuje jego los tragiczny. Upadek ten niema w sobie poetycznej wzniosłości, gdyż jest wynikiem przesady sentymentalnej, która zamilknąć musi w czasach krwi i żelaza. Chociaż działania Austrii malowane są tu w barwach ujemnych, autor, jeżeli chciał wykazać jej niecnotę na półwyspie Bałkańskim, nie umiał tego uczynić w sposób dość wyraźny i przekonujący. Nie można tedy powiedzieć, aby p. Płomińczyk szczęśliwie zwyciężył trudności, wynikające z natury przedmiotu. Chociaż istotnie wymagania prawdy dziejowej stanowią szkopuł dla twórcy, jednakże fakty świadczą, że i na tym gruncie mogą powstawać piękne utwory poezji.

W naszej literaturze posiadamy pełen pierwszorzędných zalet obraz dramatyczny *Na Ukrainie*, który okupuje niespójność kompozycji potęgą i piękną obrazowania, a będąc bardzo szeroko nakreślona, panoramą stosunków społecznych, posiada wartość dokumentu historycznego, okraszzonego nieśmiertelnym powabem poezji. Utwór p. Płomińczyka nawet w małej części takiej wartości nie posiada, gdyż frazeologia wypełnia po brzegi jego ramy a charakterystyka ukazuje się tylko w drugoplanowych scenach i postaciach. Pod względem artystycznym jest on szeregiem scen, czasami dość efektownych, pisanych ze szczerem, niekiedy nawet płomiennym zapalem, ale wiązanych słabo, niespływających się w jedno artystyczną. Kompozycja świadczy o słabej twórczości. Niezależnie wszakże od tych usterek, w scenach pojedynczych, w stylu autora widnieje istotna pisarska zdolność, którą może z czasem wzmocnić obserwacja, wyrugowawszy czczy patos na korzyść prawdy i poezji. W czytaniu dramat sprawia tu i owdzie sympatyczne wrażenie, gdyż w jego frazesach tętni ta potęga najszlachetniejszej miłości, która chyba tylko za cenę wielkich ofiar ugina się przed żelazną koniecznością.

J. K.

JERZY BRANDES

SZKIC LITERACKI.

IV.

Wypada nam obecnie scharakteryzować Jerzego Brandesa pod względem czysto literackim, a oceniając w nim pisarza i artystę, zaznaczyć, chociażby tylko szkicowo, wszystkie jego na tem polu prace.

Od dziennikarskiej krytyki teatralnej, stanowiącej wstęp do dalszej jego kariery poczynając, mamy przed sobą cały szereg pism, studyów, monografij, które wszystkie ześrodkowują się w jednym jego najważniejszym i najpotężniejszym dziele, w *Głównych prądach literatury XIX wieku*. „Wielka to chwila w życiu pisarza — mówi Brandes — chwila dojrzałości, gdy na statku, własną ręką zbudowanym, wybieramy się świat objechać, lub chwytamy za skrzypce

przez nas wystrugane, by własną na nich zagrać melodyę.“ Dla niego epoką taką jest wzmiankowana książka; w niej też zawarte jest jakby wyznanie wiary autora i cały, rzec można, systemat filozoficzny; ku niej zmierza to, co poprzednio myślał i pisał, od niej pochodzą i w niej źródło mają późniejsze jego utwory, które w stosunku do wieku pisarza, liczącego obecnie nie więcej jak lat 40, bogatą już składają bibliotekę.

W *Krytykach i portretach* daje nam Brandes zadek następujących dzieł swoich, w których przesuwają się przed oczyma czytelnika, jak w latarni magicznej, już to obrazy duchowego życia narodów, już to profile genialnych marzycieli (Kierkegaard, Fegner), już to silnymi konturami odznaczone typy ludzi, rozpościerających na otoczenie swe oraz przyszłość wpływ wybitny i trwały (Lord Beaconsfield, Ferdynand Lassalle), już nareszcie postacie nacechowane pewną oryginalnością w utworach literackich (Andersen, Mill, Merimée, Paweł Heyse).

Wszystko, czego się myśli Brandesa chwytają a pióro jego dotyka, musi nosić na sobie piętno jakiejś niezwykłości. Epoki i społeczeństwa nabierają w obrazowaniu jego pewnej szlachetności i wagi, nie tracąc przytem cech prawdy. Niemal pycha u niego nazwaćby można uczucie, brońące mu przystępu do przedmiotów zwyczajnych, ludzi miernych i charakterów codziennych. Co wzniosłe w czynie, odwagi w myśli, pożyteczne w skutkach dla ludzkości, co jest śmiałością usiłowania do osiągnięcia wyżyn możliwej doskonałości, ma dar rozpalania go i roznamietniania. Każdy objaw wolnej myśli ludzkiej, każdą pracę sumienną dla idei prawdy i swobody uważa za świętość. Ale zarazem takt jakiś wyższy, smak dobry i miara estetyczna — nie pozwalają mu wpadać w grube błędy przesady i bałwochwalczego zaślepienia, tak że literackie studia jego, nawet te, w których się unieść daje sympatycznemu przedmiotowi, i te, w których się najbardziej zapalowi poddaje, nie noszą na sobie cech bezmyślnego panegiriku. Za przykład posłuży nam jeden z jego bardzo skończonych zarówno w treści jak w zewnętrznej formie szkiców, mianowicie Andersen. Ile tam prawdziwego uwielbienia dla nowej i świeżej myśli, dla poetycznego natchnienia; jak się Brandes zachwyca prostotą i wdziękiem stylu wielkiego bazarza, a z jakim zajęciem i serdecznością mówi o jego młodych słuchaczach! Upaja się poezją, fantazją, uczuciem Andersena, ale zarazem nadmienia z przekonywającą siłą logiki, że ten wzniosły liryzm i ta uczuciowość nie mogą iść w parze z doświadczeniem; że fantazja, jak ptak skacząca i bujająca, nie jest w stanie zgłębiać z zimną krwią wszystkich tajników ludzkiej natury; że poecie brak psychologicznych i fizjologicznych pierwiastków do tworzenia postaci życiem i prawdą tchnących. Genialnym jest więc Andersen w swoim specjalnym odrębnym rodzaju, w bajce, i w tej formie czarować może, w innych zaś kierunkach twórczości brak mu psychologicznej intuicji i męskiej siły. Jest jeszcze między innymi jedno dzieło Brandesa, dające nam przykład taktu i wstrzemięźliwości w krytyce, a mianowicie poważna jego polityczna praca o Beaconsfieldzie. Jako duńczyk, z uczucia patriotyzmu miałby prawo do uzasadnionej urazy względem angielskiego premiera, a mimo to studium jego jest trzymane w tonie tak beznamietnym i chłodnym, takim przejęte jest uznaniem dla wyjątkowych zdolności wielkiego męża stanu, że w Anglii nawet nie-malego doczekało się powodzenia.

Celuje przede wszystkim Brandes wybitną charakterystyką dziejową, wiernem obrazowaniem czasu i miejsca, trafnem od-wzorowywaniem dawnej epoki i społeczeństwa, z czego przypuszczać należy, że był

by bardzo dobrym historykiem, gdyby nie tylko w krytyce, ale i na polu dziejopisar-skiem sił swoich próbował. Jak doskonałym jest naprzykład rys wewnętrznej ustroju i polityki Niemiec w książce o Lassallu; jak pysznie pochwycony i śmia-łem piórem skreślony bieg naturalny dzie-jów, który *Niemcy Hegla na Niemcy Bis-marka zamienił!*

Na innym miejscu zajmuje nas świetne porównanie cywilizacji germańskiej z fran-cuzką i wyprowadzony z niego wniosek, że wielkie, marzycielskie, poważne Niemcy ze swą wybitną skłonnością do oderwanego rozmyślenia, ze swoim panteizmem i poe-zyą podobne są do Indyj, podczas gdy Fran-cya — naturalnie z wszelkimi zastrzeże-niami — do nowożytnej Hellady. Mnóstwo jest takich wybornych malowideł w jego dziele. Tu występuje w jaskrawych bar-wach rewolucya francuska, z całą swoją ponurą i morderczą grozą, której gilotyny oświeca jednakże jutrzeńka wolności i swobody. Tam powstanie irlandzkie rozacza smutną swą, krwią najprzedniejszych bo-haterów namaszczonej epopeję. Ów dzie-znowu piękny przedstawia się oczom naszym krajobraz, a w nim zakwita misty-czna i ciepłarniana roślina (*Die blaue Blume*) kwiat niemieckiego romantyzmu. Gdzieindziej nareszcie mamy opisy umy-słowego i społecznego życia Danii, szare malowanki północy, w których czuć, że au-tor pięści zaciska i zębami zgrzyta z głębo-kiego patryotycznego bólu nad nieudolno-ścią, zacofaniem i ospałością swych współ-braci. Ludzie, rzućni na to misterne tło artystyczne, żyją, poruszają się, oddycha-ją, uderzają swoją indywidualnością. Z ra-my poetycznej wyskakują tryskająca ogniem namietności wspaniała postać lorda poety, który żył dla pieśni, a umarł dla wolności, żywym słowem przemawia do nas Tomasz Moore, czarowny piewca zie-lonego Erynu. Śmiały profil pani de Staël ukazuje nam w swych klasycznych liniach jeden z najsmielszych umysłów naszego stulecia. Brandes tak samo chyli czoło przed królestwem gieniuszu, jak przed potęgą talentu. Następują typy Balzaca, ojca powieści współczesnej, i Prospera Me-rimée, tego subtelnej i oryginalnego sce-ptyka francuskiej literatury, nareszcie Kierkegaarda, ukochanego od lat młodzień-czych bohatera Brandesa, ojca duchowego nieledwie, któremu poświęca obszerne stu-dyum, najlepsze może jakie napisał, nace-chowane gruntownymi wiadomościami z dziedziny filozofii i psychologii, zmysłem krytycznym, dzięki któremu maluje nam człowieka z jego namietnościami i myśla-mi, z pobudkami tłomaczącymi jego zasady i czyny, z całą jego subiektywną, nerwo-wą, myślącą i śmiałą naturą. Jak nitka czerwona przebiega przez książkę pewne moralne pokrewieństwo, łączące młodego pisarza ze spoczywającym już w grobie starym, zmęczonym i nieszczęśliwym my-slicielem.

Ulubionym tematem Brandesa jest wal-ka prawd społecznych i umysłowych, po-konujących się wzajemnie w gorączko-wym wyścigu, którego meta — postęp. Całe więc życie jego, zarówno duchowe, jak praktyczne, zajęte jest i wypełnione tą jedną ideą przewodnią rozwoju i wolności myśli; dla niej pracuje on jak wierny i po-wolny sługa czynem i piórem.

W wielkich miastach europejskich, gdzie życie płynie burzliwą falą, niszcząc i tę-piąc wszystko, co już przestało być użyte-cznem lub przyjemnem, zdarza się często widzieć dzielnice całe opróżnione, rozebra-ne, zburzone, dla zrobienia miejsca nowym zupełnie arterjom komunikacji, gmachom, pałacom, ogrodów, do teraźniejszych po-trzeb i wymagań fizycznych i moralnych społeczeństwa lepiej zastosowanym, niż dawne uliczki i budynki. Pustkowia takie, czyli raczej rumowiska, gdziez jednej stro-ny leżą jeszcze kupy gruzów a z drugiej

już widać sztandary do nowo mających się wznosić murów; gdzie jedni wywożą jeszcze szczątki dawnych budowli, a dru-dzy już przygotowują materiały do przy-szłych pomników, przypominają mi za-wsze wieloma rysami podobieństwa chwilę obecną pod względem moralnym, społec-znym i literackim. Tu jak tam dużo jest jeszcze ruin nieuprzątniętych, sterczą je-szcze uparcie nagie ściany budynków, któ-re już dawne zadanie swoje spełniły i tyl-ko bezużytecznie miejsce zajmują. Ruszto-wania do przyszłych gmachów przygotowa-ne, fundamenty nawet podłożone, drogi nowe wytknięte, potrzebaty tylko ludzi ener-gii i pracy, potrzeba ręki inteligencji, aby powstała dzielnica wspaniała, gdzieby lu-dziom było swobodnie się poruszać, gdzie-by myśl miała dosyć przestrzeni i powie-trza do rozwoju i gdzieby się swoich da-wnych ciasnych zaułków rumieni już nie potrzebowała. Wiele jest jeszcze do uprzą-tnięcia i wiele do zbudowania, ale plany istnieją, miejsca nie brak, rysunki goto-we, a wiek nasz XIX od tego wiekiem pracy nazwany będzie, że myślące dzieci jego za zadanie sobie biorą znoszenie ce-gielki po cegielce, materiałów do mają-cych się wzniesić granitowych pomników wiedzy i postępu. A teraz gdy spytamy czem się głównie odznaczył Jerzy Bran-des w zastępie ludzi czynu i myśli, co wy-stawił pożytecznego i trwałego, a co zni-szczył niezdolnego już do życia i w czem leży największa jego zasługa, odpowiedź będzie następująca: Nie jest on żadnym wielkim reformatorem, nie stworzył za-dnego oryginalnego systematu filozoficz-ne-go, nie wzbogacił literatury europejskiej ani jednym skończonem arcydziełem, pło-dem poetycznego natchnienia, ale jest su-miennym, prawym, namietnym, nigdy nie wahającym się apostołem postępu i przed-stawia nam się jako osobistość wybitna i potężna pracą, energią, miłością dla ideałów światła i prawdy, życiem poświęconem ideom wolności i niezależności duchowej. W Brandesie cenimy człowieka, który ni-gdy nie szedł ścieżką przez tłumy wyde-ptaną, ale zawsze szukał sobie drog now-ych, a sił swych używał z prawdziwym poświęceniem na łamanie przeszkód w tym pochodzie. Cenimy w nim pisarza, który w młodzieńczym jeszcze zupełnie wieku r. 1869 pisał w liście do Andersena: „Pragnął-bym szczerze, aby moje zdolności na coś się ojczyściej literaturze przydały; abym ziemi tej nie opuścił, nie zostawiwszy na niej śladu swego istnienia.“ Celu tego dopiął i dziś już zaszczytne miejsce zajmu-je w rzędzie tych, co świat podbili inteli-gencją i panowanie nad umysłami sobie zapewnili. Bo jak powiada nasz poeta:

I ten zwycięzcą kto da najwięcej światła od siebie.

Jadwiga Krausharowa.

ELEKTRYCZNOŚĆ W PRZEMYŚLE.

—II.

Jeżeli odkrycie taniego sposobu wytwa-rzania elektryczności napotyka w prakty-ce tak wielkie zapory, to natomiast wynalazki drugorzędne w tej dziedzinie mają więcej powodzenia.

Zbiornik elektryczności Faure'a (*accu-mulateur d'électricité*) jest jednym z najszczę-sliwszych pomysłów obecnej chwili. Wynalazek ten narobił wiele wrzawy przed kilkoma miesiącami w Paryżu i w Londynie. Oczekując szczegółowych objaśnień i wyniku prób, z tym przyrządem wykonanych na obecnej wystawie elektryczności w Paryżu, ograniczamy się tutaj na pobie-znem wskazaniu jego zasady. Ma to być naczynie napełnione wodą (prawdopodo-

banie zaprawioną kwasem siarczanym), w której są zanurzone dwie blaszki ołowiane, niedotykające się i zwinięte w węzownice, dla powiększenia powierzchni skupiającej elektryczność. Blaszki te są pokryte żółtym tlenkiem ołowiu, (PbO). Połączony za pomocą drutów dwie te blaszki ze źródłem elektryczności (stosem elektrycznym lub maszyną Gramma), wywołamy rozkład wody: tlen, zbierający się na biegunie ujemnym, łączy się z tlenkiem ołowiu i tworzy czerwony proszek zwany minią (Pb_3O_4), wodór zaś idzie do bieguna dodatniego, zabiera tlen wchodzący w skład tlenku ołowiu i tworzy z nim wodę, pozostającą w zbiorniku elektryczności, w miejsce tej ilości wody, która dopiero co była rozłożoną. Ten drugi biegun, oswobodzony z tlenku ołowiu, pozostaje czystym ołowianym.

Skoro tylko rozkład tlenku ołowiu, znajdujący się na tym ostatnim biegunie, skończył się, naówczas wstrzymać należy przyływ elektryczności, odpinając druty od źródła; gdyż w razie przeciwnym wydzielający się wodór z rozkładu wody, pod działaniem prądu elektrycznego, uchodziłby bezużytecznie w górę, wody ubywałoby w zbiorniku i manipulacja byłaby utrudniona. Jeżeli teraz druty odpięte, które komunikowały zbiornik Faure'a ze źródłem elektryczności, złączymy ze sobą, zamykając w ten sposób okrag (*circuit*) zbiornika, naówczas tworzy się w nim zjawisko odwrotne dopiero co opisanemu. Nowożłozone ciała, woda i minia, skupiają się obok swych biegunów elektrycznych, wodór, zaś przeważający w pierwszej i tlen w drugiej, sprowadzają wytwarzanie się prądu elektrycznego polaryzacyjnego, to jest odwrotnego prądowi poprzedniemu.

Ilość wody, która była w działaniu podczas naładowywania zbiornika, rozkłada się przy odpływie elektryczności, a ponieważ prąd polaryzacyjny jest odwrotnym, więc tlen rozłożonej wody osadza się na biegunie ujemnym (który przy naładowywaniu był dodatnim) i tworzy tlenek ołowiu, wodór zaś dąży ku biegunowi dodatniemu (który poprzednio był ujemnym), łączy się z tlenem wchodzącym w skład minii i wytwarza wodę, zostającą w zbiorniku na miejscu tej, która przedtem była rozłożoną. Zjawisko trwa dotąd, póki oba bieguny nie zostaną sprowadzone do swego pierwotnego stanu, t. j. do tlenku ołowiu, którym oba były pokryte.

Zbiornik elektryczności Faure'a jest podobny do takiegoż zbiornika Plantégo, który był wynaleziony przed dwudziestu laty. Różnica w ich składzie jest niewielka, lecz w działaniu rzecz ma się inaczej.

Zbiornik Plantégo różni się od zbiornika Faure'a tem, że bieguny elektryczne były ołowiane i niepokryte tlenkiem ołowiu, więc przy rozkładzie wody tworzyła się na biegunie ujemnym minia, w okolicach zaś bieguna dodatniego wydzielal się wodór, skutkiem czego wody ubywało w zbiorniku i przyrząd nie był praktycznym. Zasluga jednakże jest wielka Plantégo, gdyż jego prace utorowały drogę Faure'owi do urzeczywistnienia swego zbiornika.

Pozostaje tylko przekonać się doświadczalnie, co prawdopodobnie skutecznie będzie na obecnej wystawie elektryczności w Paryżu, czy prądy polaryzacyjne, które zbiornik Faure'a dostarcza, posiadają jednostajne natężenie. Jest to kwestya bardzo wielkiej doniosłości, gdyż w takim razie prądy te mogłyby być spożytkowane, na wzór zbiorników powietrza ściśnionego, jako motor w bardzo wielu okolicznościach, nawet do poruszania tramwajów, dorożek, powozów i t. p., przy czem maszyny parowe stosować nie można, gdyż drgania, zbyt szkodliwe dla tych maszyn, nie stanowią niedogodności przy motorach elektrycznych.

Wobec takiego przypuszczenia, koleje elektryczne Siemens'a nie miałyby naj-

mniejszej przyszłości, gdyż na każdej lokomotywie elektrycznej dogodniej byłoby umieścić zbiornik Faure'a, niż przeprowadzać szynę specjalną, prowadzącą prąd elektryczny na przestrzeniach, które pociąg ma przebiegać.

Zamiast umieszczenia osobnego źródła elektryczności, przy najmniejszej zapotrzebowaniu, lub przesyłania prądu na znaczne odległości za pomocą drutów, można by zbiornik elektryczności naładowywać w fabryce głównej i przenosić do miejsc zużycia, jak się to praktykuje w przypadku zastosowań ściśnionego powietrza.

Najdonioślejsze jednakże zastosowanie, znaleźćby mógł zbiornik Faure'a przy zamianie pracy mechanicznej sił natury na elektryczności spożytkowywaniu jej, wskutek możliwości przechowywania wytworzonej siły elektrycznej, oraz umożliwienia, w pewnych granicach, jej podzielnosci.

Ogrzewanie, suszenie, gotowanie, można by również przy pomocy zbiornika Faure'a wykonywać bardzo korzystnie, za pomocą np. ogrzewania powietrza prądem elektrycznym.

Światło elektryczne zapewniłoby mogło również zbiornikom Faure'a bardzo rozległe zastosowanie, gdyż każda świeca, zamiast komunikować się ze źródłem elektryczności, mogłaby mieć swój oddzielny zbiornik elektryczny. Dozwoliloby to całkowicie urzeczywistnić podzielnosc światła elektrycznego i rozpowszechnić je nawet w mieszkaniach prywatnych, czego dzisiaj, praktycznie mówiąc, dokonać nie można. Aby rzecz tę wyjaśnić, musimy nadmienić, że istnieje bardzo wiele systematów oświetlania elektrycznego, posiadających swe zalety i niedogodności. I tak, pierwsiastkowe światło elektryczne, polegające na spalaniu dwóch kawałków węgla, wymaga regulatora, za pomocą którego można zmieniać odleglosć tych węgli, stosownie do zmiany natężeń prądu elektrycznego, który nigdy nie jest stały, szczególnie w przypadku wydobywania go ze stosu. Prąd elektryczny, użyty do palenia rzeczonych węgli, przyciąga jednocześnie elektro-magnes i reguluje w ten sposób oddalenie od siebie palących się węgli. Jeżeli prąd zwiększa swe natężenie, wówczas zbroja elektro-magnesu jest więcej przyciągana i za pomocą odpowiedniego mechanizmu węgle są odsuwane. Gdy prąd słabnie, węgle się zbliżają.

Wszystkie regulatory są oparte na jednej zasadzie, różnią się tylko mechanizmem, stosownie do potrzeb. I tak np., w latarniach morskich potrzeba stałego natężenia światła, więc mechanizm regulatora jest odmiennym od podobnegoż mechanizmu, używanego przy oświetlaniu elektrycznym okrętów, gdzie żądamy możebności kierowania światła w różne strony, stąd konieczność obracania regulatora w różnych kierunkach i t. p. Mechanizm zawikłany tych przyrządów psuje się bardzo często, zużywa bardzo wiele elektryczności, wymaga oddzielnego źródła elektrycznego dla każdego regulatora, a zatem w tym razie podzielnosc światła jest niemożebną.

Jabłoczkow usunął regulatory ze światła elektrycznego, a z nimi wszystkie wyszczególnione niedogodności, oraz urzeczywistnił, w pewnych granicach, podzielnosc światła. Wynalazek Jabłoczkowa jest więc znacznej doniosłości. Szczęśliwa myśl umieszczenia dwóch węgli równolegle obok siebie i oddzielenia ich za pomocą warstwy odosobniającej dozwala utrzymać odleglosć stałą między węglami. Warstwę odosobniającą robiono początkowo z ciasta koalinowego, lecz ponieważ stopienie go zużywało dużo ciepła, a zatem i elektryczności, więc wynalazca zastąpił je ciastem przygotowywanem z gipsu i siarczanu baryty, który pod działaniem prądu ułatwiając się, pali się w warunkach daleko korzystniejszych. Wkrótce potem wprowadzono bar-

dzo wiele ulepszeń do systemu Jabłoczkowa. Profesor Jamin przyczynił się także do wydoskonalenia świecy Jabłoczkowej, zaś sam wynalazca pracuje ciągle nad nowymi zmianami.

Światło Jabłoczkowa zużywa jednego konia parowego na jedną świecę i pozwala wstawić w jeden okrag elektryczny dowolną ilość świec, które będą się paliły, wytwarzając tyle prawie światła, jak gdyby każda świeca komunikowała się z oddzielnym źródłem elektryczności; otrzymane wszakże natężenia wszystkich świec są jednakowe. Nie można więc w systemie Jabłoczkowa palić za pomocą jednego źródła elektryczności kilku świec, dających różną moc oświetlającą, co nie rozwiązuje całkowicie kwestyi podzielnosci światła.

Oprócz tego, samo światło, żeby nie zostawiało nic do życzenia, wymaga: 1) prądów elektrycznych jednostajnego natężenia, oraz, 2) jak największej czystości ciała palącego się w lampie. Maszyny Gramma czynią zadość pierwszemu warunkowi, o ile to jest możebnem w praktyce. Drugiemu warunkowi dotąd jeszcze nie zdolano zadość uczynić w zupełności. To też szukano sposobów wytwarzania światła, bez spalania węgla. Lampa Lodygina, wynaleziona w 1872 r. polega na tem, że węgiel osadzony między dwoma dobrymi przewodnikami elektryczności, umieszczony jest w kuli szklanej zamkniętej. Prąd elektryczny rozgrzewa do białosci węgiel, powietrze znajdujące się w lampie rozkłada się i palenie nie ma miejsca, lecz tylko wydzielanie się światła. Lampy te są kosztowne, lecz dogodne w użyciu.

Edison skopiował swą lampę z tego wzoru, nadając węglowi kształt litery U i otrzymując go przez spalanie cienkiej tektury.

Również Reynier wprowadził nowe ulepszenia, które mają podobno usunąć wszystkie niedogodności innych lamp.

Gaspar, z Liège, umieścił światło elektryczne pod podłogą i odrzucał je odpowiednimi otworami na sufit, za pomocą reflektorów, co daje światło bardzo znośne dla wzroku, bez zbytecznych zmian natężenia. System ten ma być praktycznym do oświetlania wielkich sal.

Spodziewać się należy, że metodyczne porównanie różnych lamp elektrycznych, którego dotychczas nie zrobiono, będzie dokonane na obecnej wystawie w Paryżu — i że próby, wykazujące względne ich wartości, sprowadzą nowe ulepszenia oraz praktyczność światła elektrycznego.

To, co dotychczas powiedzieliśmy o źródłach, zbiornikach i o świetle elektrycznym, odnosi się do najżywoniejszych kwestyj z dziedziny przemysłu elektrycznego. Inne zastosowania mniej budzą ciekawości, gdyż są już znane; wspomnimy o nich jednak pobieżnie.

W dziedzinie telegrafów zasługuje na uwagę urządzenie, pozwalające przesyłać po jednym drucie kilka depesz odrazu. Urządzenie to nie jest jeszcze dostatecznie wydoskonalone i zarządy telegrafów wahają się je zaprowadzać.

Kwestya telegrafów podmorskich przez prace uczonych angielskich została już stanowczo rozwiązana. W telegrafach tych używane są teraz prądy elektryczne nadzwyczajnie słabe, niezdolne do wprawiania w ruch nawet najczulszych przyrządów telegraficznych, a sygnały, przesyłane liniami podmorskimi, tworzone są przez zaledwie dostrzegalne ruchy igły magnesowej galwanometru, zaopatrzonej w zwierciadelko. Jeszcze słabsze prądy stosowane są przy komunikacjach telefonowych.

Obok telefonów wchodzą także w dziedzinę zastosowań elektryczności: mikrofony i megafony, mające na celu wzmocnienie dźwięków telefonowych. Działanie tych przyrządów jest niepewne, pozostawiają one przeto wiele do życzenia.

W zakresie galwanoplastyki elektryczność oddaje także usługi, a zwłaszcza jej zastosowanie do rytownictwa i fotografii obiecuje względny pożytek i spodziewać się należy wielu nowych ulepszeń w tej gałęzi po obecnej wystawie elektryczności w Paryżu.

Antoni Sękowski
inżynier cywilny.

LIBERUM VETO.

Potwierdzenie domysłu. — Sędziowie pokoju przed trybunałem *S. Petersburskich Wiedomości*. — Nauczyciel, któremu nie pomógł egzamin państwowy. — P. Gloger zapewniający skarbowi państwa oszczędność. — Komisarze włościańscy. — Ciekawe odkrycie w *Tygodniku Rolniczym*. — Tajemniczość obrządków w Tow. Kredytowem Ziemskim. — Patriarchat własności większej nad drobną i średnią. — Jej parada w prasie. — Resursa literacko-artystyczna. — Kalendarz dla Izraelitów wydany przez nieprzyjaciela żydowskiej odrębności. — Walka cietrzewiów.

Gazety rosyjskie, objaśniając wieść o wprowadzeniu egzaminów państwowych, nadają jej wykład zgodny z naszym przypuszczeniem. Mianowicie sądzą one również, że właściwie wprowadzone będą nie egzamina, bo te istnieją, ale obowiązki składania ich przez ludzi, sprawujących służbę publiczną a wolnych nieraz od średniego nawet ukształcenia. *S. Petersburskija Wiedomosti* radeby podciągnąć pod pewien *census* umysłowy sędziów pokoju, którzy „w wielu miejscach zdobyli sobie smutną sławę. Zdarzały się wypadki — powiada to pismo — że sędziowie pokoju wydawali wyroki..... śmierci; że na czele wojsk przebiegali swoje okręgi i t.p. Nierzadkie też bywały przeniewierzenia pieniężne. Przeszłej np. zimy na ławie oskarżonych petersburskiego sądu okręgowego zasiadało trzech sędziów pokoju, obwinionych o zmarnowanie powierzonych im depozytów.“ Jeżeli nie w całości, to co najmniej w połowie *S. Petersb. Wiedomosti* mają zupełną słuszość. Bo chociażby nawet egzamin nie nauczył przyszłego kapłana Temidy, że w jej przykazaniach obowiązuje również siódme, to w każdym razie nauczy go, że sędzia pokoju nie ma prawa ani wydawać wyroków śmierci, ani odbywać pochodów na czele wojska.

Że egzaminy państwowe nie wytapiają z charakteru moralnych skazań, mamy aż nadto wiele potwierdzeń. W jednym z gimnazjów, nauczyciel łaciny w niższych klasach połowę swych lekcji poświęca na lzenie prasy postępowej. Zważywszy, że dzieci, słuchające tych wymysłów, nie przyjmują nawet biernego udziału w walkach literackich; że nauczyciel powinien je uczyć, nie podburzać; że szkoła jest przybytkiem niezależnego od bieżących sporów wychowania, nie zaś bezpiecznym polem waleczności bez przeciwnika i upustem zapienionych gniewów osobistych — zapytać wolno, czy ów nauczyciel, napadając tych, którzy jego bohaterstwo lekceważą i często o nim wcale nie wiedzą, nie krzywdzi tych, którzy są przymusowymi jego słuchaczami? Nie dość na tem. Każdy urzędnik, polak, winien być podwójnie cnotliwym: za siebie i swoje społeczeństwo, ażeby błędząc jako jednostka, nie dostarczał niebezpiecznych dowodów przeciwko ogółowi. Jeżeli zatem ów p. nauczyciel, którego szczególnych znaków rysopisu tu nie podaje, jest chociaż odrobinę *sapiens*, powinno mu to być *sat...*

Daleko radykalniej niż *S. Petersb. Wiedomosti* postępuje warszawska *Niwa*, w której p. Gloger, przejęty myślą dokonywanych obecnie przez rząd oszczędności pań-

stwowych, już nie radzi podciągnąć komisarzy włościańskich pod egzamina państwowe, ale znieść zupełnie ich posady w Królestwie Polskiem, z następujących ważnych powodów. Władz tych, na których utrzymanie państwo ponosi znaczne koszty, nie uważał nigdy rząd za instytucje stałe i wieczyste. Siedemnastoletnie ich istnienie, zdaje się, przekroczyło już termin pożądany. Włościanie w Królestwie Polskiem, z dniem ukazu 2-go marca 1864 roku, stali się całkowitymi dziedzicami przyznanej im ziemi; następnie wszystkie ich grunta zostały przez jeometrów rządowych pomierzone, okopcowane, plany komisjom i włościanom doręczone i spory gminne rozstrzygnięte. Stan włościański jest z innymi porównany, a nawet otrzymał przywileje. Zachodzi więc ważne ze względu na skarbowość państwową pytanie: czy komisye włościańskie i urzędy komisarzy powiatowych do spraw włościańskich są dziś tak samo niezbędne, jak były po roku 1864? Jeżeli są niezbędne, w takim razie nie przestaną być potrzebnymi nigdy, ponieważ stosunki dzisiejsze włościan, przy tych samych warunkach i prawach trwać mogą i będą trwały bez końca. Żądać od pp. komisarzy, aby popierali dobrowolne układy o zamianę serwitutów, a tem samem usuwali ostatnią rację bytu swego urzędowania, byłoby żądać za wiele. Gdyby dopomogli do zamian dobrowolnych i usunięcia służebności, rząd zwinąłby posady, które stanowią dziś najwygodniejszy sposób dobrej płatnej urzędowania. Tym sposobem stan przejściowy, wbrew zamiarom rządu, przemieniony jest na trwały, ale chroniczny. Po latach siedemnastu skarb utrzymuje w Królestwie tak samo 85 pp. komisarzy do spraw włościańskich, tyluż ich sekretarzy i jeometrów, jak w roku uwłaszczenia włościan. Nie wymaga już dziś tego potrzeba obrony praw włościańskich, bo na cóż byłoby w takim razie sądownictwo i administracja krajowa, którym podlegają wszystkie stany bez wyjątku? Jeżeli sądownictwo i administracja, pomimo zupełnego zreformowania, nie posiadają dostatecznej ręki dla obrony praw stanu włościańskiego, w takim razie i inne stany potrzebowałyby także oddzielnych instytucyj dla swego bezpieczeństwa. A co do serwitutów, praktyka udowodniła wszędzie, że włościanie nie tylko sami pilnują praw najlepiej i najmniejszo nie dozwolą w nich zrobić sobie uszczerbku, ale nadto prawa te wszędzie samowolnie rozszerzają, przeciw czemu działanie pp. komisarzy okazuje się najczęściej bezskutecznem.

Z drugiej strony, jeżeli bezstronnie spojrzymy w naturę władzy komisarskiej, łatwo przekonamy się, że urząd pomieniony następcza tylko wątpliwą rację bytu. Komisarz stanowi pierwszą instancję, ale nie nie decyduje, bo od każdej jego decyzji obie strony apelować mogą do komisji włościańskiej, która jest z kolei drugą instancją, a przejściową do trzeciej i ostatniej w Petersburgu. W każdej sprawie obie strony zyskałyby niezmiernie na skróceniu procedury, gdyby wprost udawać się mogły do instancji decydującej, to jest drugiej, czyli żeby pierwsza nie istniała. Włościanie, którzy przez lat kilka popełniają nadużycia, nim dla ich sprawdzenia przybędzie namiejsce komisarz, nabierają gruntownego przekonania, iż ich samowola i pretensje stały się prawem słusznym i wiekuistym.

„Pp. komisarze — dodaje do tego wywodu *Gaz. Warszawska* — tak rzadko wyjeżdżają na czynności w swych powiatach, czas główny poświęcając nie wspólnego z tą czynnością niemającym zajęciom, jak np. własnemu gospodarstwu na folwarkach nabytych po proboszczach, do których nabywania prócz nich nikt nie był dopuszczany — że śmiało potwierdzić możemy zdanie p. Glogera, iż jeden energiczny urzędnik ko-

misji włościańskiej, gdyby ta była pierwszą instancją, mógłby zastąpić wszystkich razem w gubernii komisarzy. Obowiązek dzisiejszy pp. komisarzy wysyłania zawiadomień o terminie przyjazdu (który zresztą, jak to naocznie przed kilku miesiącami mieliśmy sposobność sprawdzić w jednym z powiatów dawiańskich, z dziwnem lekceważeniem dla całych gromad wiejskich, od pracy na dany dzień do kancelaryi gminnej odrywanych, bynajmniej jak należy nie jest przestrzegany) mógłby przejść na władzę administracyjną; korespondencję z wójtami ułatwiać może naczelnik powiatu. Protokoły graniczne sporządzają i dzisiaj jeometry rządowi do spraw włościańskich, a decyzje komisarskie w razie sporów są tylko wyciągami z ich planów i rejestrów pomiarowych. Wszystko to mógłby dopełnić, przy pomocy tego samego jeometry, urzędnik wysłany z zarządu gubernialnego i protokół wprost przelać pomienionemu zarządowi do spraw włościańskich w gubernii.“

Jakkolwiek całe to rozumowanie wypłynęło z pod pióra własności większej a przynajmniej oddycha wyłącznie jej interesami i nie dotyka zupełnie korzyści włościan — co jest nader osłabiającym jego siłę błędem, wskazuje niewątpliwie źródło... oszczędności państwowej. Dajemy też za p. Glogerem i jego projektem — kreskę bez sporu.

Pod jednym tylko warunkiem: niech p. Gloger odczyta artykuł w *Tygodniku Rolniczym* („De omnibus rebus“) i niech również *sine ira et studio* przemówi za zniesieniem pewnych obyczajów w Tow. Kredytowem Ziemskim. Szanowna ta instytucja, wytłomaczywszy sobie, że jej działalność nie ma żadnego związku z interesami ogółu i wiadomą być winna tylko wroczinnem kółku paszów własności większej, odczyła się tak nieprzebitą tajemnicą, iż nawet swych najważniejszych uchwał nie uważa za stosowne zdradzać przed prasą. Dzięki jednak reporterskiej zręczności *Tygodnika Rolniczego*, dowiadujemy się, że od pewnego (niewiadomego) czasu Towarzystwo obraduje nad kodyfikacją swych ustaw i że... „zgniół się dzieje w tem państwie duńskim.“ A naprzód dla zażegnania wszelkiej opozycji dopiero na dziesięć dni przed rozpoczęciem posiedzeń doręczono stowarzyszonemu projekt owej kodyfikacji. Kto zna naszego obywatela ziemskiego, niewprawnego w przenikanie długiego rzędu paragrafów; kto zna trudności przerobienia myśla takiego materiału, ten nie weźmie za złe pp. radcom, że przybyli na obrady nieprzygotowani i losy swej nawy musieli powierzyć kilku wtajemniczonym w sprawę żeglarzom. Jaką zaś busolą kierują się owi żeglarze, świadczy uchwalony *census* wyborczy, dopuszczający do tego prawa jedynie stowarzyszonych, którzy posiadają pożyczkę przynajmniej 3,000 rs. „Tym sposobem — mówi *Tygodnik* — cały zastęp nie tylko drobnej, ale nawet średniej własności pozbawiony został prawa pilnowania swych własnych interesów finansowych i oddany pod patriarchalną opiekę właścicieli większych obszarów ziemi.“ Postanowienie to usprawiedliwiono faktem, że kiedyś w plockiem wybrany został deputat, niepokodzony z ustawą karną, z którą podstawienia i operacje symulacyjne pp. radców wybornie się godzą. No, dziś już wiemy, co za świątynia wznosi się przy ulicy Mazowieckiej. Jej bramini bardzo słusznie robią, zakrywając korcem swoje wielkie czyny i nie dopuszczając prasę do podniesienia tego korca. Bo nużby ziemianom naszym otworzyła oczy i powiedziała: patrzcie, wy, którym Bóg nie dał 3,000 rs. pożyczki, jak was za nosy wodzi możnowładztwo, jak ta pańsko-massonńska loża, która powinna ogarnąć możliwie najszerszy zastęp posiadaczy ziemi, ścieśnia swe koło oligarchicznym promieniem i widzi wśród was więcej

kryminalistów dla tego, że macie mniej od jej wielkich mistrzów pieniędzy.

Z drugiej strony przyznać trzeba, że prasa nasza nie objawia zbyt ciekawości do poznania tajemnic Tow. Kredytowego. Ona woli przypuszczać szturm do dyrekcji teatrów i przerażać Polskę dymsią p. Święckiej lub obliczać złoto w kassie zachowawczej a miedź w postępowej. Teoria „garstki” i „większości” naszego dziennikarstwa znowu przedefiniowała po kilku pismach. Jeden z wielu, z których każdy sądzi, że gdyby kulę ziemską złożył na jednej szali, a sam usiadł na drugiej, z pewnością by ją przeważał — przedstawił znowu w *Kur. Warszawskim* ten stosunek miliona naszej prasy do jej „małej części”. Gdyby sama ilość rostrzygała, czuliśmy się upokorzeni; ale dopóki korzec ulegał mniej wart, niż dwa ananasy, i dopóki worek pakul mniej waży, niż garniec ołowiu, jesteśmy spokojni od strony p. Ad (ama?) G (oraja?).

Mimo lekceważenia dla owej „drobnej garstki,” co do której nawet ks. Bismark w swoim kraju fatalnie się przerachował, *Gazeta Warszawska* gotowaby i ją wprowadzić do projektowanej resursy literacko-artystycznej. I owszem może tam obliczylibyśmy się ściślej, a choćbym miał oślepnąć od blasku geniuszów prasy konserwatywnej, pragnąłbym spojrzeć z bliska w te słońca.

Na nieszczęście wieść o resursie literackiej zmartwychwstaje corocznie i znowu się do grobu kładzie. Tak będzie i teraz, jeżeli jej nie wskrzesi ktoś, kto drogi zakładania podobnych towarzystw zna i bez potknięcia się chodzić po nich umie.

Dla mnie drogi te równie są nieznane, jak obca logika „zblżenia mieszkańców jednej ziemi,” która popełnęła p. J. Goldszmita do wydania osobnego *Kalendarza dla Izraelitów*. Bo jeżeli wydawca przytoczone zdania Kraszewskiego: „Jestem stanowczo przeciwny osobnym szkołom, instytucjom i wszystkim, co wyłącza, odosobnia i rozdziała dawny uwiecznia i utrwała; potrzeba zlewać, łączyć, równać, a nie — utrzymywać odosobnienie na różnicy wyznań oparte” — jeżeli, mówię, p. Goldszmit podziela tę zasadę, to jakim sposobem odczuł potrzebę wydania kalendarza dla Izraelitów, w którym nowy rok zaczyna się według rachuby europejsko-polskiej 24 września, nazywa się pohebrajsku *Rosz-haszana* a jest z kolei 5,642-im i w którym p. K. Herz przy pomocy Kraszewskiego grzmi na odosobnianie Żydów? Zagadka ta jest tem trudniejszą do rozwiązania, że Żydzi, którzy mogą czytać artykuły p. Orzeszkowej i poezje p. Gomułickiego, mogliby również poprzestać na ogólnym kalendarzu i rachować czas od 1 stycznia.

W chwili, gdy to piszę, rozlegają się jeszcze ostatnie strzały walki o nazwę *tramwaju*. Aż z Wołynia przybiegł do *Echa* p. Kajetan z propozycją nazwania kolei konnej *żelaznicą*. Strudzeni w boju rycerze, posłuchajcie: przyszłowie polskie mówi: jak zwą, to zwą, aby dał. Dotąd inni wynajdywali, a myśmy nazywali. Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy teraz wynajdywali, a inni nazywali. Ręczę wam zaś, że gdy wynajdziecie coś pożytecznego, Anglicy i Francuzi bez ujmy dla swych języków zatrzymają na tem dziele polską nazwę, chociażbyście je ochrzczili — *cietrzewiem*.

Posel Prawdy.

TEATR.

Poranek dramatyczny p. Adolfa Ostrowskiego. — *Sidla*, komedia w 1 akcie p. Dhormoys, tłumaczona z francuskiego. — *Dwaj nieśmiali*, komedia w 1 akcie pp. Marc-Michel i Labiche, tłum. z francuskiego. — *De-klamacje*.

Wśród pokaznej liczby talentów aktorskich, zdobiących personel naszego drama-

tu, p. Adolf Ostrowski zdobył sobie niejedną zasługę oklask i znaczenie siły twórczej w rozwoju scenicznego ruchu. Talent to istotny a przede wszystkim nawskróś komiczny. W początkach swego zawodu p. Ostrowski wkraczał nieraz w dziedzinę poważniejszej charakterystyki, ale w miarę wyrabiania własnej oryginalnej techniki wyspecjalizował swą działalność w zakresie ról, którego jest obecnie bardzo dobrym przedstawicielem. Typ mieszczucha, komicznego ojca i zamaszystego szlachcica w grze jego tętni zwykle niepodrobioną komiczną werwą. Indywidualność artysty nie pozwala mu rozwinąć wielkiej rozmaitości zewnętrznego upostaciowania figur; jednakże p. Ostrowski posiada zdolność wydobywania różnic charakterowych za pomocą dobrze obmyślanych odcieni gry, a nadewszystko posiada, szczerze komiczny humor, udzielający się zarazliwie słuchaczom a niewpadający w jaskrawą i nieokielznaną szarżę. Dość przypomnieć sobie tylko galerię stworzonych przez p. Ostrowskiego figur, aby ocenić jak należy zakres jego talentu, niezdumiewający, ale zawsze dość obszerny. Na czele stawiamy p. Ostrowskiego w francuskiej komedii mieszczańskiej role zgryźliwego *safanduzi* Fromental, który technicznie prawdą i komizmem w każdym ruchu i słowie, oraz utuczonego księdza w *Serafinie*, będącego doskonałym typem klerikalnej obłudzie, opartej na sybarytyzmie i sobkowstwie. Pierwszy z tych charakterów był w karyerze p. Ostrowskiego punktem zwrotnym, od którego zajął on na naszej scenie wydatne stanowisko. Obok tych ról możnaby ugrupować koło pociesznych figur w komediach francuskich i niemieckich, oraz bogatą panoramę typów swojskich, stworzonych w sztukach oryginalnych.

Z wielką prawdą grany w *Cichej wodzie* Chęcińskiego Gerwazy, który ma „dwa domy”, zamaszysty Ratajński w *Posażnej jedynaczce*, doskonale skopowany z gry Panczykowskiego Brzydkiewicz w *Żydach*, zabawny totumfacki i fabrykant perfum w *Czarnokwicie*, nareszcie cały szereg krewkich postaci szlacheckich, granych z werwą — oto jest galeria ról, napiętnowanych wybitnie swojskim charakterem, wykonanych sumiennie i plastycznie.

W ostatnich dniach artysta stworzył w tej kategorii jedną z najlepszych figur swoich, Gębalińskiego z *Sasziadów*, który jest pysznym okazem wąsatego zaściankowego krzykacza. Obecnie talent Ostrowskiego znajduje się w najszcześniejszej fazie rozwoju, tak że śmiało może sięgnąć po role, które w jego rodzaju stanowią najwyższy stopień ambicji aktorskiej. O ile można wnosić, szekspirowski Falstaff i molierowski George Dandin mogliby w grze jego wcielić się nader szczęśliwie.

Po wielu latach sumiennej pracy artysta zasłużenie otrzymał obecnie poranek benefisowy, na którym przedstawiono dwie nowe jednoaktowe bluety francuskie, wybrane z prawdziwym smakiem. *Sidla* p. Dhormoys są wytworną sztuką konwersacyjną, polegającą na delikatnych, wypieszczonych odcieniach, wyhaftowaną z koronkowym sprytem. Tego rodzaju porcelanowe cacka wymagają gry prawdziwie francuskiej, subtelnej, której trudnościom w znacznej części podołali p. Tatarkiewicz, jako elegancki kochanek, i pani Lude, jako młoda wytworna wdówka.

Daleko więcej zajmującą była pełna humoru, bardzo zabawna a dystygowana farsetka *Dwaj nieśmiali*, będąca utworem renomowanej firmy Marc-Michel i Labiche, która umiała zawsze osiągnąć komizm prawdziwy bez podejrzanych i swawolnych efektów. Treść sztuczki, jak zwykle w tego rodzaju drobiazgach, jest blaha; ale autorowie z niezmiernym sprytem i zręcznością potrafili wysnuć cały szereg sytuacji

bardzo zabawnych, które biegają zwawo. Przyniosła ona w darze słuchaczom kilka chwil serdecznej wesołości, a grana była koncertowo przez benefisanta i p. Szymanowskiego, którym w drugoplanowych rolach szczęśliwie dopomagała panna Wisnowska i p. Prażmowski. Okrasą tego poranku była deklamacja monodramu Mirona *Sen Tassa*, wykonana przez p. Królikowskiego. Sam utwór, chociaż przeładowany frazeologią romantyczną, posiada liryczne piękności, które artysta uwydatnił z niepospolitą sztuką dykcji, rozwiniętych ogromy zasób uczucia i dramatycznej siły. Z ust panny Deryng zadźwięczał wiersz Konopnickiej *Do kobiety*, którego piękny, chociaż nagi morał artystka oblekla barwami poezji i żywego uczucia

S. K.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 5 listopada.

„Im bardziej się starzeję, tem silniej nienawidzę liberałów, a czuję, że się starzeję” — rzekł niedawno na jednym *soirée* parlamentarnem ks. Bismark i rzekł wielką prawdę. Nadewszystko prawdą jest, że się starzeję. Niezależna prasa europejska dawno mu już to powiedziała, ale on dziś dopiero wierzy. Kancelarz niemiecki zezwalał się od chwili, gdy zamiast wielkich operacji w polityce zewnętrznej zaczął motać drobne intrygi; gdy zamiast pozostać sprawą wewnętrzną ludziodoświadczeńszym, zaczął płodzić dziwolągi ekonomiczne; gdy zamiast zmniejszyć narodowi brzemię, dodał do niego nowe ciężary, słowem gdy zaczął kapryścić, złościć się, tupać nogami, przykrawać państwo na miarę swojej woli i wygod, a nadewszystko wicherzyć kraj bezowocną walką ze stronnictwami. Ponieważ zaś żywioły postępowe głównie mu utrudniały przeprowadzenie kaprysów starości, nie też dziwnego, że je coraz bardziej „nienawidzi.” Ze smutkiem wszakże Bismark przekonał się po obecnych wyborach, że naród tej jego nienawiści nie podziela. Nietylko bowiem pomnożył mu znacznie szeregi wrogów w sejmie, ale nadto usunął od mandatu poselskiego najszerzej rozpowszechnionych przyjaciół i... krewnych. Dyrektor sławnej rady ekonomicznej radca Bosse, przywódca konserwatystów Varnbüller, duch i pomysłów państwowo-socjalistycznych prof. Wagner, nawet najdroższy synek hr. Wilhelm — przepadli. Ile ran otworzyło się w sercu biednego męczennika! Rozgniewany też i zbolący dał hasło, ażeby jego rzesza przy wyborach uzupełniających między socjalnymi demokratami a postępowcami głosowała zawsze za... socjalistą. O, nieba, cóż to się dzieje! Bismark, który stworzył prawa wyjątkowe i małe stany obłożenia przeciw socyalistom, który ich więził, przesładował, kandydować nie pozwolił, teraz sam tychże samych socjalistów wprowadza do sejmu, i życzy sobie podobno, ażeby byli „silnie reprezentowani!” Gdzież tu jakiejkolwiek zasady, jeżeli nie zaliczymy do nich godła *l'état c'est moi* i manii stawiania na swoim! Tak, ks. Bismark się starzeję. Biedne Niemcy, jeśli on starzeć się będzie zbyt długo!

Shczęśliwa zato Francya, bo Gambetta odmłodził. Zebrana Izba, wybierając go na tymczasowego marszałka, znaczną większością głosów, wyraziła mu ufność jako przyszłemu kierownikowi narodu na stanowisku ministeryalnem. Rola ta jest dla Gambetty już postanowioną, oczekuje on tylko odpowiedniej pory, ażeby ją podjąć. Tym sposobem, gdy nad Niemcami zachodzi ich wielkie słońce, nad Francją wznosi się coraz wyżej świeżajutrzienka.

W tumanie uroczystych przemówień, toastów, powitań, życzeń i telegramów nikną poważne cele pobytu króla Humberta w Wiedniu, jeżeli są jakie. Dotąd przynajmniej gazety, zajęte drogocennymi spinkami i dyademami dostojnych gości, nie godnego uwagi nie wykryły. Jedną tylko z Austrii nowina, że hr. Andrassy ma zostać ministrem spraw zagranicznych. Wszakże Niemcy posiadają przysłowie, że „stara miłość nie rdzewieje.“

O PRAWDĘ.

Na odpowiedź p. J. Finkelhausa w przedmiocie projektu ubezpieczenia roszchodów p. Wścieklica nadesłał nam obszerną replikę. Ponieważ spór obu stron zeszedł z gruntu rzeczowego i stał się osobistym, ponieważ ani nie mamy w piśmie naszym miejsca na takie zapasy, ani nie sądzimy, ażeby one przyniosły korzyść czytelnikom *Prawdy*, wyjmujemy więc z owej repliki te jedynie punkty, które bądź rozjaśniają przedmiot, bądź łomaczą jego rzeczników. I tak p. W. twierdzi:

1) Że p. F. zataił istnienie towarzystw ubezpieczających roszchody, bo w projekcie wyraźnie powiedział, że one „przetrwały zaledwie lat kilkanaście,“ że błędnie nazywał je „drobnymi,“ gdyż rozporządzają milionami, oraz „spekulacyjnymi,“ gdyż w ich zarządach zasiadają członkowie Izby i senatorowie; że w osnowie projektu przyznaje sobie autorstwo myśli zasadniczej, której zastosowanie do państwa jest pomysłem nader łatwym.

2) Zarzut zapożyczenia $\frac{1}{10}$ swych cytatach od Roschera p. W. tak odpiera:

a) trzech z przytoczonych autorów (Hauschofera, Blocka i Dühringa) Roscher nie przytacza wcale;

b) na Blanquiego powołuje się raz bez podania źródła i w kwestyi niemającej żadnego związku z przedmiotem sporu;

c) Smitha również nie przywołuje w tym przedmiocie.

Natomiast p. F. — według p. W. — początek wstępu w projekcie wziął od Hugona, porównanie o młocie w ręku dziecka (ze zmianą) od Roschera, cały zaś projekt z reklamy *Soci. d. Coup. Com.*

3) P. W. utrzymuje, że z żadnych rad prywatnych p. F. nie korzystał i żadnych nie potrzebował.

4) Że p. F. w nadziei wzbogacenia wiedzy popełnił błędy, gdyż:

a) proch był dwa razy wynaleziony — pierwszy raz na 1,000 lat przed Schwarzem w Chinach;

b) stopa dyskontowa w Anglii nie jest $1\frac{1}{2}\%$, lecz najmniej $2\frac{1}{2}\%$ do 4 a nawet do 5%;

c) Anglicy nie potrzebują czekać na zrealizowanie obligacji banku ubezpiecz. roszch. lat kilkaset, gdyż termin General Exp. Comp. wynosi lat 75.

Ponieważ p. W. W. szło nie tylko o rzecz, ale i osobę autora projektu, zaznaczamy więc dla ścisłości tego streszczenia, że w ostrych przycinkach nie pozostał przeciwnikowi dłużnym...

Ponieważ nadto p. Finkelhaus, odmawiając słuszności tym zarzutom, nie uważa za stosowne prowadzić dalej bezowocnego sporu, więc pismo nasze dla tej sprawy zamykamy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Towarzystwa wzajemnej pomocy we Francji, mające na celu szerzenie wśród ludu oszczędności i ułatwienie jej zastosowania, rozwijają się bardzo pomyślnie, wzrastając wciąż w liczbę i boga-

ctwo zgromadzonych w nich kapitałów. W r. 1870 liczba towarzystw wzajemnej pomocy we Francji wynosiła 6,139, z kapitałem 45 milionów fr.; w r. 1878 liczba ich wzrosła do 6,293 a kapitał — do 86 milionów fr., wreszcie w r. z. 1880 było już 6,525 z kapitałem 90 milionów i 900.000 członków.

— Ustawa projektowanego Towarzystwa opieki nad dziećmi nie została zatwierdzona przez ministerium.

— Koloniści czescy, osiedli na Wołyniu w znacznej liczbie (przeszło 60,000) odbyli zjazd religijny, na którym postanowiono przyjąć wyznanie husyckie pod nazwą „czesko-braterskiego.“

— W Petersburgu tworzy się Towarzystwo robotników „Blaho raboczich,“ oparte na tem, że każdy składający tygodniowo 15 do 20 kop., w razie nieszczęścia odbierającego mu możność do pracy, oraz na starość, w razie choroby i t. p. otrzyma stałą pensję od Towarzystwa. Na czele tego przedsiębiorstwa stoi hr. Rostowski.

Szkoły. Minister komunikacji wydał rozporządzenie, aby na przyszłość rady szkół technicznych przy drogach żelaznych nie wybierały same nauczycieli na posady wakujące.

— W uniwersytecie warszawskim wydano rozporządzenie, aby studenci nie wygłaszali mów na pogrzebach swych kolegów i profesorów.

— Wydział lekarski uniwersytetu warszawskiego przeznaczył dla studentów tegoż fakultetu stypendyów 32 na sumę rs. 5,484. Od opłaty wpisu uwolniono 51 studentów.

— Pierwsze dwie szkoły ludowe przenośne zaczęły działać w siedmiu wsiach okręgu białoozierskiego gub. petersburskiej.

— Zegarmistrz Kirchner zakłada w Petersburgu szkołę dla zegarmistrzów.

— Wykład nauk w warszaw. szkole handlowej niedzielnej i wieczornej rozpoczął się w niedzielę d. 30 października r. b. Tegoż dnia zamknięty został zapis uczniów do tej szkoły.

— Dr. Marian Baraniecki, privat-docent uniwersytetu, rozpoczął w r. b. wykład geometrii wykreślnej, niezależnie od prowadzonego przezeń seminaryum praktycznego z rachunku różniczkowego i całkowego. Notatki z tego ostatniego kursu są w r. b. litografowane przez studentów.

— Dnia 11 stycznia 1874 r. zapadła uchwała sejmiku lwowskiego, żeby wydział krajowy zbadał przyczyny zubożenia ludności wsi i miasteczek w Galicyi. W tym celu wydział krajowy przygotował blankiety z zapytaniami o szczegóły bytu ekonomicznego drobnej własności ziemskiej, które to blankiety rozesłał wszystkim radom powiatowym i gminom. Ściąganie wiadomości szło bardzo mozolnie, tak że w końcu roku 1877 zebrano dopiero 2 500 skryptów, z których mniej niż połowa (1,148) obejmowała odpowiedzi na wszystkie wyłączone punkta. Opracowanie ogólnego sprawozdania przygotowane na obecną kadencję sejmową było także nielłatwą rzeczą, ponieważ znaczną część odpowiedzi zamiast żądanych cyfr i faktów zawierała tylko ogadywanie rzeczy. Materiał jednak zebrany rzuca niemało światła na stan ekonomiczny włościan. Rozdrobnienie własności ziemskiej nieraz było przytaczane jako przyczyna niezadawalającego stanu gospodarstw włościańskich Galicyi, przyczem stawiano przeciw temu lepszy byt włościan Królestwa Polskiego, gdzie postanowienie komitetu urządzającego ograniczyło do 6 morgów możność rozdrobnienia. Okazuje się ono istotnie przyczyną, ale jedną z bardzo wielu, upadku gospodarstw włościańskich. Średnia ich rozciągłość wynosi w Galicyi zachodniej 2—8 morgów, w północno-wschodniej 5—12, na Góralach 4—20, w ziemi Sanockiej 5—10, w strefie południowo-wschodniej 10—20. Maximum rozdrobnienia okazuje się w Jasielskiem, gdzie zagrody mniej niż dwumorgowe nie należą do wyjątków. Nie można jednak powiedzieć, żeby dobrobyt włościan szedł w kierunku wprost przeciwnym rozdrobnieniu. W bocheńskim i tarnowskim, które pod tym względem ustępują tylko jasielskiemu, byt włościan gospodarzy nie jest gorszy niż na Podolu galicyjskim, gdzie gospodarstwa są największe. Niedostateczność bydlarstwa utrudnia prawidłowy rozwój gospodarstw włościańskich; sprawozdanie zaznacza ubytek rogaczyny, mianowicie wołów, które włościanie coraz więcej zastępują końmi. Ulepszenie narzędzi rolniczych postępuje z wolna, więcej w Zachodniej niż we Wschodniej Galicyi. Cena własności ziemskiej od czasu zniesienia ograniczeń w rozporządzaniu gruntami włościańskimi (1868 r.) ciągle wzrasta, najwięcej w częściach

dawnych województw krakowskiego i sandomierskiego, w ziemi sanockiej i na Podolu galicyjskim. (*G. Warsz.*).

Nauki. Obserwatorium fizyczne w Petersburgu ogłosiło drukiem tabelę porównawczą mrozów i śniegów w różnych miastach Cesarstwa i Królestwa Polskiego. Przytaczamy z niej kilka cyfr, wskazujących, o ile dni wcześniej niż zwykle (przeciętnie) ukazał się w tym roku:

	Pierwszy mróz o dni	Pierwszy śnieg o dni
W Warszawie	24	26
„ Wilnie	24	—
„ Kijowie	27	—
„ Odesie	—	55
„ Rydze	18	—
„ Petersburgu . . .	18	20.

— Rada uniwersytetu warszawskiego przyznała p. Józefowi Nusbaumowi studentowi nauk przyrodniczych nagrodę pieniężną za napisaną przezeń rozprawę p. t. *O stosunku organu słuchu do pęcherza pławnego u ryb karpowatych* i postanowiła rozprawę tę wydrukować kosztem uniwersytetu.

Przemysł i handel. W petersburskiem Towarzystwie dla popierania handlu i przemysłu p. Józef Poznański (warszawianin) przemawiał w przedmiocie agitującego się zawarcia traktatu handlowego pomiędzy Niemcami a Rosją. Mówca dowodził, że rząd niemiecki zaprowadził cła zbożowe dla tego, aby wymóżyć zmniejszenie ceł rosyjskich od wyrobów niemieckich. Towarzystwo postanowiło referat p. Poznańskiego przedstawić ministrowi skarbu do użytku.

— Bank polski podniósł stopę skupu na $7\frac{1}{2}\%$ a procent od kredytów otwartych na $8\frac{1}{2}\%$.

— Wedle sprawozdań ogólnych o zbiorach w rozmaitych państwach, urodzaje tegoroczne na Zachodzie nie przewyższają nigdzie zbiorów średnich.

— Kapitał zakładowy Banku Polskiego jest bardzo szczupły, bo wynosi tylko 8 milionów rubli; w skutek tego prezes Banku p. Baumgarten wyjechał do Petersburga dla wyjednania powiększenia tego kapitału.

— W zarządzie kolei Orłowsko-Witebskiej prowadzą się próby z przyrzędą p. Graffio, mającą za zadanie kontrolowanie pociągów kolejowych, wykazywanie zużytego drzewa lub węgla, oleju i t. p.

— W Kijowie fabrykanci tytoniu z powodu uszkodzenia plantacji przez mrozy podnieśli ceny swych wyrobów o $10\frac{1}{2}\%$.

— Pisma nasze ogłaszają już program szczegółowy zjazdu przedstawicieli przemysłu i handlu, mającego się odbyć w Moskwie w roku przyszłym podczas wystawy.

— Zamknięcie wystawy przemysłowo-rolniczej w Odessie i rozdanie nagród odbyło się w d. 23 października.

Koło literackie. Dnia 30 z. m. odbyło się we Lwowie, walne zgromadzenie Koła literackiego. Wybrano na prezesa dr. Ksawerego Liskego powtórnie. Zastępcą przewodniczącego został dr. Kubala; członkami wydziału dr. Bernard Goldman, p. Włodzimierz Miłowicz, dr. Julian Ochowicz i dr. Gustaw Roszkowski. Do komisji rewizyjnej powołało zgromadzenie pp. Wład. Schmidta, dr. Stan. Szachowskiego i Alberta Wilczyńskiego.

Sztuki piękne. W ostatnich czasach wynaleziono sposób przenoszenia kopii obrazów, rysunków, facsimilów, i t. p. na drzewo za pomocą fotografii. Otrzymałe w ten sposób i wyryte podobizny, w niczem nie ustępują zwykłym drzeworytom, odznaczają się jednak ceną tańszą i daleko większą dokładnością, która szczególnie w kopiach obrazów i autografów jest tak pożądana.

Literatura polska. *Sprawozdanie rady szkolnej krajowej* o stanie wychowania publicznego w roku szkolnym 1879/80 (szkoły ludowe w Galicyi).

— *Sprawozdanie z czynności towarzystwa pedagogicznego lwowskiego* za rok 1880/81, podane przez zarząd główny.

— *Syrena, kalendarz św.-jański* na rok 1881/82.

— *Ustawa wekslowa powszechna austriacka* z dołączeniem odmian tekstu.

— *Wajgel. Obrazki z przyrody*, 2 tomy.

— *Wappler. Historia kościoła katolickiego*.

— *Wilno*, 12 widoków fotograficznych.

— *Wzory do ćwiczeń w rysunku cyrklowym*.

— *Zalewski. Poszukiwania archeologiczne w Gołtyńskim*.

— *Żuliński. Kilka słów w sprawie higienicznej reformy szkół*.

— *Zbiór wiadomości do antropologii krajowej*.

— *Kalinka. Sejm czteroletni*, tom II-gi, Lwów.

— *Kuryer Codzienny* przeszedł na własność pp. Wacława Rokowskiego oraz Franciszka Wilkońskiego redaktora *Tygodnika rolniczego*.

Literatura niemiecka. Brandes napisał nowe dzieło p. t. *Moderne Geister*, które drukuje się we Frankfurcie. Treść tych nowych wizerunków literackich słynnego krytyka stanowią zyciorysy: Milla, Renana, Heysego, Andersena, Fegnara, Flauberta, Paladan-Müllera i Björensena.

— Goetztufer. *Reallexicon der deutscher Alterthümer*.
— Filhes. *Schloss Isenstein*, roman (Breslau).
— Jokai. *Pater Peter*, roman (Budapest).
— Koenig. *Verlassen!* roman (Berlin).
— Palm. *Briefe aus der Bretterwelt*, Ernstes und Helteres aus der Geschichte des Stuttgarter Hoftheater.
— Proells. *Emancipirte Novellen* (Leipzig).
— Quentel. *Musterbuch für Ornamente und Stickmuster*.

— Schücking. *Wunderliche Menschen*, drei Erzählungen.

— Varnbüler. *Buchenheim*, ein Roman (Stuttgart).
— Virchow. *Altes und Neues*, ein Roman (Stuttgart).
— Pawel. *Die literarischen Reformen des XVIII Jahrhunderts*.

— Brodbeck. *Einleitung in die Philosophie*.
— Caspari. *Der Zusammenhang der Dinge*, gesammelte philosophische Aufsätze.

— Hettinger. *Die Krisis des Christenthums*, Protestantismus und katholische Kirche.

— Pelesz. *Geschichte der Union der ruthenischen Kirche mit Rom* von den ältesten Zeiten bis auf die Gegenwart.

— Schreiber. *Der Talmud* von Standpunkte des modernen Judenthums.

— Schultze. *Die Grundgedanken des Materialismus*.

— Schultze. *Philosophie der Naturwissenschaft*.

— Stende. *Ein Problem der allgemeinen Religionswissenschaft* und ein Versuch seiner Lösung.

— Beck. *Dine Rechtfertigung der Juden* und wahre Lösung der Judenfrage.

— Loewe. *Lehrbuch der Logik* (Wien).

— Neumayer. *Morphologische studien über fossile Echinodermen*.

— Chavanne. *Karte von Central Africa*.

— Schwegler-Lerchenfeld. *Der Orient*, mit 200 Illustrationen.

Literatura francuska. *Monuments de l'art antique*.

— Assolant. *La bataille de Laon* (1814).

— Malot. *Pompon*, roman (Paris).

— Moutepin. *Son Alléssé l'amour* (Paris).

— Ninons. *Le batard*, roman (Paris).

— Rochefort. *Les naufrageurs* (Paris).

— Sirven. *La fille de Nana*, roman de mœurs parisiennes.

— Uzanne. *Les surprises du coeur*, roman (Paris).

— Amans. *Les joies du mariage*, poesies.

— Bède. *La téléphonie*, histoire, description et application de telephones.

— Block. *Peinture à l'huile*, conseils pratiques.

— Borain. *Les énormités du libre échange anglais*.

— Blumerrincq. *Le passé de la Russie depuis le temps le plus reculé jusqu'à la paix de San Stefano*.

— Collier. *Contes à rire d'un nouveau genre*.

— Dechamp. *La démocratie et la réforme électorale* par la représentation proportionnelle.

— *Bibliographie general de l'astronomie* ou catalogue methodique des ouvrages astronomiques publiés depuis l'origine de l'imprimerie jusqu'en 1880.

— Bourmont. *Manuel de paleographie*.

— Broglie. *Le positivisme et la science experimentale*.

— Comte A. *Philosophie positive*. Resumé par J. Rig.

— Bardoux. *Etudes sociales et politiques*.

— Desjardins. *Traité du vol dans les principales législations*.

— Lambert. *Etudes sur les associations syndicales*.

Literatura angielska. Conway. *Tomas Carlyle*.

— Symonds. *Renaissance in Italy*, italian literature.

— Davies. *Hindu philosophy*, the Sankhya Karika of Iswara Krishna.

— Lillie. *Buddha and early Buddhism*.

— Bouwick. *Our nationalities*.

— Cunningham. *India and its Rulers*.

— Beesley. *Sir John Franklin*.

— Hatton. *To day in America*, studies of the Old World and the New.

— Martin. *The Chinese*, their education, philosophy and letters.

— White. *England, without and within*.

— Arnold. *Indian poetry*.

— Mayor. *A Sketch of ancient philosophy*, from Thales to Cicero.

— Ramlison. *History of ancient Egypt*.

— Crowest. *Phases of musical England*.

— Fitzgerald. *Young Coleels*. (London).

— Mallock. *A romance of the nineteenth century*. (London).

Literatura rosyjska. Departament poczt w Petersburgu wydał wielką mapę pocztową Cesarstwa Rosyjskiego z Królestwem Polskiem.

— W Petersburgu wyszedł pierwszy numer pisma p. t. *Correspondance universelle*, które wychodzić będzie codziennie pod redakcją p. Korawina. Prenumerata roczna rzeczonożego dziennika wynosi rs. 275. Redakcyja ma głównie na celu dostarczać materyału do korespondencyj dziennikom rosyjskim. W prospekcie zwraca uwagę na zapewnienie współudziału zdolnych korespondentów we wszystkich ważniejszych punktach starego i nowego świata.

— Profesor Makuszew pomieścił w *Czasopiśmie ministerstwa oświaty* rzecz *O południowo-ruskich podaniach*, według rękopisu znajdującego się w Bibliotece Ossolińskich we Lwowie.

— Juzow. *Russkie dissidenty*, sławowiery i duchowny chrześcijaństwo.
— Smirnow. *Istoria angielskiej etyki*.
— Berdnikow. *Gosudarstwennoje polożenie religii w rzymsko-wizantijskiej Imperii*.
— Winogradow. *Pedagogiko-didaktičeskije sowiety*.
— Skworcow. *Ob organizmie gimnazii*.
— Byczkow. Oczet o dziejowości wtorego oddzielenia imperatorskiej akademii nauk.

— Werkowicz. *Weda sławian*, obriadnyja pieśni jazyčeskago wremeni.

— Modestow. *Wsieobszczaja istoria literatury*.

— Pamiatniki drownej piśmiennosti.

— Juskiewicz. *Litowkija narodnyja pieśni*.

— Pamiatniki Paska posłużyły p. Umancowi za materyał do napisania obszernego artykułu o Małorusinach w Polsce, pomieszczonego w *Istoričeskim Wiestniku*. To samo pismo zawiera ciekawą rzecz o literaturze ukraińskiej przez p. Petrowa.

— Brafmał, autor okrzykanej ksiądzki *Żydz i kabaly*, pozostawił w rękopisie plan reformy żydów w Rosyi. Plan ten, opracowany przez syna neofity, pomieszczony został w czasopiśmie *Rus*.

— Zotow, sekretarz redakcyi *Głosu*, ogłosił drukiem *Historyę literatury powszechnęj* w czterech wielkich tomach i opracował w swem dziele piśmiennictwo polskie nadzwyczaj sympatycznie, doprowadzając je aż do naszych czasów.

Nekrologia. Leopold Mikulski mag. pr. i adm. zmarł 1 listopada w Warszawie. Będąc współpracownikiem wielu pism, przyjmował żywy udział w ruchu tak zwanej „młodej prasy“, pomieszczając artykuły ekonomiczne i prawne, spolszczył Büchnera *Siłę i materyę* (wspólnie ze St. Czarnowskim), ostatecznie był współwłaścicielem i sprawozdawcą politycznym *Kuryera Codziennego*. Był to człowiek prawdziwie wolnomyślny i do sprawy postępu szczerze przywiązany.

— W Karlsruhe d. 22 października zmarł nagle jeden z najznakomitszych współczesnych prawoznawców Jan Kasper Bluntschli, rodem szwajcar. Urodził się 7 marca 1808 r., kształcił się w uniwersytetach niemieckich. Ostatnio w r. 1861 wezwany do Heidelbergu objął tam katedrę i rozwinął działalność jako prawoznawca i polityk. Liczba dzieł Bluntschlego jest ogromna. Wielkiej wagi są jego pisma treści filozoficznej. Trzy dzieła o państwie nowożytnem są prawdziwymi skarbami wiedzy w tym przedmiocie. Najważniejszemi jego dziełami są: *Historyja republiki Zurichu*, *Historyja ogólnego prawa politycznego*, *Pojęcia azyatów starożytnych o Bogu i świecie*, *Nowożytnie prawo wojny*, *Nowożytnie prawo międzynarodowe*, *Teoryja państwa nowożytnego* i wiele innych.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. K. Kon. w *Ulanikach*. Właściwsze i naturalne miejsce artykułu pańskiego jako dalszego ciągu polemiki jest w *Gaz. Rolniczej*. Tam też odesłaliśmy rękopis.

OFIARY.

Reszta z rachunku p. H. B. dla biednych kop. 50. — Dla I. A. Małczewskiego od D., M. M., R. i S. rs. 8 kop. 50.

OGŁOSZENIA.

Świeżo wyszło z druku w dalszym ciągu
Wydawnictwa Spółki Nakładowej

dzieło

QUINETA

pod tytułem

NOWY DUCH

Cena rs. 1 kop. 50.

SKŁAD GŁÓWNY

W CZYTELNI

St. Czarnowskiego

przy ulicy Nowy Świat Nr. 19.

3—3

KWESTYA POLSKA

W LITERATURZE ROSYJSKIEJ

M. Pypina

przekład z rosyjskiego.

DODATEK BEZPŁATNY DO

PRAWDY.

Abonenci nowi, którzy pragną go nabyć, płacą rs. 1. Z powodu zastosowania nakładu tej książki do ilości egzemplarzy *Prawdy*, nieabonentom naszego pisma sprzedawać jej nie możemy.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdym opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratory „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Sprostowanie. W artykule „Elektryczność w przemyśle“ zamiast *węglowodory* czyt. należy *węglowodany*.